Numer 49. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 1 Grudnia 1928



ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Zawiadomienie.

Zawiadamiam niniejszem, iż z dniem 20 listopada 1928 r. przeniosłem swój

Zakład lekarsko-dentystyczny i techniczny

do domu p. A. Jurysia, przy ulicy Józefa Piłsudskiego w Krośnie (obok Kasy Oszczędności), gdzie wykonuję nadal wszelkie zabiegi w zakres dentystyki wchodzące.

Z poważaniem
lekarz-dentysta
Aleksander Romm.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Rozumny lekarz.

Ciężko chory mówi do lekarza: Jeśli panu doktorowi uda się uratować mi zdrowie, pozostanę na zawsze dłużnikiem pana doktora.

Lekarz: Nie mój panie! Na takie interesy nie idę. Ja leczę tylko za gotówkę i dłużników nie przyjmuję...



Jakaż to dzisiaj poglądów zmiana,
— Mówił pan Stefan do pana Jana,
Wąs bywał zawsze dumą mężczyzny,
Brawury znakiem, oraz tężyzny
A włosy, mówmy to między sobą,
Największą niewiast naszych ozdobą.
I było sromem, hańbą przeklętą,
Kiedy dziewczynie warkocz obcięto.

Dziś mąż dostojny, kraju powaga,
Chociaż go zdobi rozum, odwaga,
Choć orderami okryty wszystek,
A znów niewiasta, stara, czy młoda,
Obciąwszy krótko na głowie kłaki,
Wygląda potem, jak łobuz jaki.

Tak, tak, kochany panie Stefanie,
Lecz na cóż nasze całe gadanie,
Gdy ludzie w jakimś baranim pędzie,
Najchętniej z życia to biorą wszędzie,
Czy to w pałacu, czy też w chałupie,
Co podłe, brzydkie, złe albo głupie.

Jak poznać miłość.

— Powiedz mi szczerze, Zosiu, czy kochasz mnie?

— Nad życie.

— Dobrze. Oto masz 10 dolarów i kup sobie kapelusik.

— Ależ, Janku, ten banknot jest fałszywy.

— Ha, kłamałaś! Nie kochasz mnie. Nie powinnaś była tego zauważyć. Miłość prawdziwa jest... ślepa.



Znalazł się.

— Pryncypał powiedział mi: Idź pan do djabła.

— I co pan na to zrobi?

— Przyszedłem natychmiast do pana, panie adwokacie!



Także prawda...

Gość: — Panie, ta wieprzowinka nie jest świeża. Powąchaj pan ją, już czuć.

Restaurator: — Co pan mówi? Ona jest zupełnie świeża, taka świeża, że ją czuć jeszcze chlewem.

Numer 49. Rok XI. Kraków, dnia 1 Grudnia 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara, rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Rorate caeli.

(Spuście niebiosa).

Temi słowy modlił się prorok Pański, widząc panowanie czarta i ciemności, a z drugiej strony straszny upadek ludzkości. Cała ludzkość jęczała w niewoli czarta i nic też dziwnego, że z takiem utęsknieniem czekano Mesjasza. Ucisk i znęcanie się nad slabszemi, rozpusta, pijatyka, morderstwa, oto wady ówczesnej ludzkości. Nic też dziwnego, że nie tylko Żydzi ale i poganie tego Zbawcy żądali. Cały więc ten okres, to okres nędzy i upadku. Kościół katolicki na pamiątkę więc tego czasu, obchodzi również czterotygodniowe przygotowanie zwane adwentem.

Adwent, to nazwa łacińska adventus, t. zn. przyjście. Praojcowie naši okres ten nazwali „czterdziestnicą“, gdyż trwał przez 40 dni na pamiątkę 4000 lat. Zaczynał się więc adwent wcześniej, bo już po św. Marcinie. Z biegiem wieków Kościół katolicki zmniejszył ten okres do 4-ech tygodni, przez który to przeciąg czasu Kościół katolicki przygotowuje wiernych na Boże Narodzenie w duszach tychże. Był to więc czas pokuty i oczekiwania Zbawiciela.

Dlatego przed adwentem podobnie jak przed wielkim postem, urządzano wspaniałe uczty i zabawy. Specjalnym przysmakiem tych uczt była pieczona gęś. Zachował się nawet dość dziwny zwyczaj wróżenia w wilję św. Andrzeja, który to sport uprawiają po dziś dzień panny, wróżąc sobie o swym przyszłym losie i zamążpójściu. Topią mianowicie wosk i leją na zimną wodę, a z ulanych figur czasem potworowatych, wróżą o swych przyszłych towarzyszach doli i niedoli. Ponieważ zaś z dniem 1-ym adwentu zaczyna się nowy rok kościelny, więc też, jak to zwyczaj kazał, wróżono o zimie czy będzie ostra lub łagodna? Używano do tych wróżb kości z gęsi pieczonej, którą spożyto w wilję adwentu.

Stare kroniki podają, że w Krakowie na wieży Marjackiej, przez cały czas adwentu kapela z dętych instrumentów grała hejnały na pamiątkę słów Pisma św. „Śpiewaj trąbą Sjonie“ (Canite tuba Sion) czyli zapowiedziane wezwanie Archanioła na Sąd ostateczny, gdy Chrystus przyjdzie powtórnie.

W innych miejscowościach Polski na Mazowszu i Podlasiu w adwencie grywano wieczorem i rano na ligawkach pieśni a tony ich echo roznosiło szeroko po całej okolicy. Przybysz zaraz wiedział, że to pora adwentowa, skoro tylko te ligawki usłyszał.

Adwent, jako czas pokuty, był okresem zakazanym t. zn. nie wolno było urządzać zabaw, ani też wesel. Kapłani bowiem przygotowywali codziennie wiernych na przyjście Syna Bożego, spowiadając ich i nawołując do poprawy.

Powstało bardzo charakterystyczne przysłowie o świętych, przypadających na początek adwentu.

Dotyczy ono św. Andrzeja i św. Katarzyny.

„Święta Katarzyna klucze pogubiła
Święty Jędrzej znalazł, zamknął skrzypki zaraz“.

Tak to dawniej obchodzono okres przygotowania się na przyjście Bożego Dzieciątka.

Dodać należy, że w dawnych latach, za czasów wolności, można było słyszeć po domach szlacheckich wczas rano śpiew pobożny. Śpiewano bowiem godzinki ku czci N. Marji P., jako Matki Syna Bożego. Jest to bardzo ładny zabytek i zwyczaj, który dziś jedynie w domach wiejskich się praktykuje.

Przez cały czas adwentu po kościołach odbywa się msza wczas rano, zwana „roratami“. Nabożeństwo to początek wzięło z Rzymu, gdzie rano w niedzielę w obecności papieża odprawiano mszę św. Nabożeństwo to bardzo uroczyście obchodzono w Polsce. Odprawia się ono przed wschodem słońca, kiedy ju-

trzenka świeci. Był zwyczaj, że król w czasie mszy św. przystępował do ołtarza z zapaloną świecą i tę na najwyższym lichtarzu, w pośrodku 7-mio ramiennego świecznika wstawiał, mówiąc te słowa: „Gotowy jestem na sąd Boży“. Drugi z kolei wstawiał biskup, te same słowa mówiąc, trzecią senator, czwartą rycerz, piątą ziemianin, szóstą mieszczanin, a ostatnią kmieć, — co z pola, ze krwi i roli — dla reszty braci chleb ich mozoli. — Świeca bowiem środkowa wyobrażała N. P. Marję, jako Matkę P. Jezusa, do którego narodzenia adwent był przygotowaniem.

N. Marja P. jest tą jutrzenką, która poprzedza światło dzienne, którem jest sam Jezus Chrystus. Jak wyżej zaznaczyłem, nabożeństwo to odbywało się wczas rano i po dziś dzień o wczesnej godzinie się odbywa, a to w tym celu, aby chrześcijanie zbierający się na mszę św okazali czujność na przyjście Mesjasza. Czyniono także wyznanie gotowości do Sądu ostatecznego, a to dlatego, że z oczekiwaniem Narodzenia Syna Bożego łączyło się w tym czasie zapowiedzenie powtórnego przyjścia Zbawiciela, ale już na Sąd ostateczny. Że to nabożeństwo kwitnie i kwitło w dawnej Polsce, wystarczy przytoczyć piękny wiersz znanego poety naszego Ludwika Kondratowicza (Syrokomli), który tak pisał:

Od Bolesława, Łokietka, Leszka
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed mszą roraty
Siedmioramienny lichtarz bogaty.

A stany państwa szły do ołtarza,
I każdy jedną świecę rozżarza:
Król — który berłem potężnem włada
Prymas — najpierwsza senatu rada,

Senator świecki — opiekun prawa
Szlachcic, co w Polsce królów nadawa,
Rycerz — co broni swoich współbraci
Kupiec, co handlem ziomków bogaci,

Chłopek, co z pola, ze krwi i roli
Dla reszty braci chleb ich mozoli.
Każdy na świeczkę grosz swój przyłoży
I każdy gotów iść na Sąd Boży.

Te 7-dm stanów z ziemicy całej
Siedmiu płomieńmi jasno gorzały,
Siedm modlitew treści odmiennej
Wyrażał lichtarz siedmioramienny.

Władysław Bienias.



Na nic.

Na nic mamona i zaszczyty,
Jedwabne stroje i złotości,
Kiedy duch sadzą jest pokryty
I nie zna Boga ni miłości!

Na nic frazesów pełne słowa
Gdy serce jadem napełnione!
Wszak często czara kryształowa
Zawiera wino zaprawione.

Trucizną, która z nóg powala...
Odwróćmyż oczy swoje w prawo
Na drzewo Prawdy — kielich Grala,
Na twarz Chrystusa tak łaskawą!

Robert Rydz.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Bitwa pod Raszynem.

Powieść historyczna.

VIII.

Janek, wziąwszy na ręce rannego pieska, udał się w dalszą drogę wśród wyniosłego lasu. Błądził dość długo między wyniosłemi drzewami, a nareszcie wszedł w młody lasek, pełen drobnych, gęsto rosnących drzewek, przez które z trudnością torował sobie drogę. Lękając się o rannego psa, musiał ostrożnie stąpać i co chwila odchylać bujnie rosnące gałęzie, co go męczyło niezmiernie i wkońcu tak zmęczyło, że padł raczej niż siadł na wolniejszem miejscu i zaczął gorzko nad swym losem płakać, a w głębi duszy począł sobie robić wyrzuty, że opuścił Łęgonice, że się rzucił w szereg awantur, które nikomu korzyści nie przynoszą, a jego samego narażą na nędzną, wśród lasu śmierć głodową.

— Nie lepiej było spać teraz w wygodnem łóżeczku? — mówił sobie.

I w wyobraźni jego rysowało się ponętne to ciche, ciepłe i spokojne jego łóżko w dworze Łęgonickim.

Ale wkrótce przeminęła ta mimowolna, wywołana głodem i znużeniem, słabość.

— Pfe, Janku — mówił sobie — wstydź się, to, co zrobiłeś, dobrze zrobiłeś, powinieneś był zrobić. Czyż to ty pierwszy jesteś w takiem położeniu? Przypomnij sobie, coś czytał w historji o królu Łokietku, jak musiał uciekać, kryć się po jaskiniach leśnych przed Czechami, a on przecież był królem, a ty czem jesteś? sierotą nieznanym. Dalej, podnieś głowę i pokaż, że umiesz znosić zimno i głód, jak przystało na mężczyznę!

Myśli te, te wspomnienia ożywiły w chłopcu gasnącą odwagę. Podniósł dumnie głowę i rzucił śmiało spojrzenie w las, jak gdyby wyzywał do walki wszystkie niebezpieczeństwa. Ale w chwili, gdy tak patrzał przed siebie z dumą i odwagą, zdało mu się, że widzi w dali, między drzewami, jakieś czerwone światełko, podobne do bardzo odległego ognia. Zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Bóg mi pomoc daje! Bóg mi pomoc daje!

Pies także zaskowyczał radośnie, Janek ucieszony niezmiernie, z bijącem sercem puścił się śmiało w kierunku owego światełka. Jakoż, im bliżej się ku niemu przysuwał, tem wyraźniej widział wielkie ognisko, rysujące się wybitnie na ciemnem tle nocy i lasu.

— Jeżeli jest ogień, to muszą być i ludzie! — mówił sobie Janek — jakoż wkrótce usłyszał szczekanie psa.

Potem, zbliżając się coraz więcej, dostrzegł kilkoro ludzi, kręcących się koło ognia, a gdy stanął od ogniska w odległości jakich dwudziestu kroków, ujrzał kilkanaście kobiet, mężczyzn i dzieci, siedzących dokoła ognia, przy którym stał wielki kocioł z gotującą się zapewne wieczerzą. Z boku nieco, przy dwóch wozach, pokrytych budą z płótna, siedział krwawo oświecony blaskiem ognia, stary mężczyzna, z dużą siwą brodą i trzymając w jednym ręku fajkę dymiącą się, drugą przyłożył do oczów, dla osłonięcia się od światła ogniska i patrzał w głąb lasu, w tę stronę, z której Janek przybywał. Obok niego rwał się i szczekał zajadle ogromny, czarny pies, przywiązany na łańcuchu do wozu. Wszyscy zresztą, tak kobiety, jak i mężczyźni, siedzący wkoło ognia, spoglądali w las — nagie, okryte gdzieniegdzie tylko łachmanami dzieci

powybiegały nieco naprzód, jak gdyby chciały przeniknąć ciemności i zobaczyć, kto się do nich zbliża.

Janek zatrzymał się na chwilę, przypatrując się temu dziwnemu obrazowi, wśród czarnej puszczy leśnej. Mimowolnie powstała w nim pewna nieufność, przez chwilę nawet zamyślał się cofnąć, ale wkrótce porzucił ten zamiar, raz, że z kotła zalatywał go zapach gotowanego mięsa, co dla jego zgłodniałego żołądka było nie lada przynętą, powtóre, że siedzący na uboczu stary mężczyzna powstał, odwiązał łańcuch z olbrzymim psem od wozu, wziął wielki sękaty kij do ręki i coś przemówił do siedzących koło ognia. Na te jego słowa zerwało się zaraz czterech młodych drabów i każdy z nich, chwytając kij, czekał na rozkazy starca.

Widząc to, Janek miał wielką ochotę drapnąć, ale zastanowiwszy się, że przy swem osłabieniu nie zdoła uciec przed pogonią psa i czterech silnych mężczyzn, oraz, że cokolwiekbądź, znajdzie u tych ludzi jakąkolwiek pomoc i posiłek, postanowił pójść do nich śmiało i zażądać gościnności u ich ogniska. Był prawie pewny, że to są cygani, o których nasłuchał się w dzieciństwie tysiące historyj — ale, pomyślał sobie, lepsza niewola u cyganów, niż śmierć z głodu. Puścił się więc naprzód, i w chwili, gdy siwy starzec zamierzał widocznie na czele czterech drabów poszukać w lesie niepokojącego ich gościa, nasz bohater stanął przed ogniskiem.

Nim zdołał się rozejrzeć, został już otoczony dokoła przez cyganów, których czarne, jak węgiel, oczy patrzyły na niego z niedowierzaniem i nieufnością. Wszyscy byli obdarci, brudni, niechlujni, a dziki, okrutny wyraz ich twarzy wśród ciemności nocy, krwawego odblasku ognia, budził w Janku grozę i przestrach. Tem przykrzejsze robiło to wrażenie, że wszyscy milczeli jak zaklęci. Nakoniec Janek, zdobywając się na odwagę, chciał przemówić, gdy nagle stanął przed nim ów siwy, stary cygan i, opierając się oburącz na swym sękatym kiju, wpoił w Janka swe duże, iskrzące się, czarne oczy i spytał chrapliwym głosem:

— Czego tu chcesz?

— Proszę was, panie cyganie — zaczął zalękniony Janek — zabłądziłem w lesie... jeść mi się okropnie chce.

— Skąd jesteś?

— Z Łęgonic.

— Z Łęgonic?... gdzie to są Łęgonice?

— O! daleko stąd, za Pilicą.

— A skąd się tu wziąłeś?

— Jeździłem do Nadarzyna i zabłądziłem w lesie.

— Czy sam tu jesteś?

— Sam.

— Po co jeździłeś do Nadarzyna?

Janek zawahał się chwilę, czy ma prawdę powiedzieć, ale brzydząc się kłamstwem, postanowił wszystko wyznać. Opowiedział zatem staremu cyganowi, który ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku, swe przygody poprzedzającej nocy i następnego dnia, opowiedział swe błądzenie po lesie, historję ze znalezionym ranionym psem, i skończył na prośbie, żeby mu dali co zjeść, żeby pozwolili odpocząć, a jutro rano pokazali mu, którędy można wydostać się na gościniec.

— A gdzież ty chcesz jutro rano iść? — spytał cygan, wysłuchawszy w milczeniu prośby Janka.

— Do Łęgonic.

— Czy tam są jeszcze Austrjacy?

— Zapewne, że są.

— No, to jak cię złapią, powieszą cię...

— Hm! to być może... ale cóż ja mam robić?...

— Co masz robić?... zobaczymy! Teraz siądź u naszego ognia, kobiety ci dadzą jeść, a jutro dowiesz się, co masz robić.

To rzekłszy, z wielką powagą wyprostował się, przemówił parę słów w cygańskim zapewne języku do otaczających i poszedł, ćmiąc fajkę, na swe dawne miejsce koło wozu, nie spojrzawszy nawet więcej na Janka. Tymczasem całe zgromadzenie powróciło do ogniska, a młody jakiś wyrostek, liczący może ze szesnaście lat, zbliżył się do Janka, wziął go za rękę i, wyszczerzając szereg białych, jak kość słoniowa, zębów, rzekł:

— Chodź, dostaniesz jeść.

I poprowadził go do ogniska, gdzie zrobiono mu miejsce, i nie opuszczał go już ani na chwilę. Zaraz potem, stara, chuda, pokryta łachmanami i brudna cyganica, zaczerpnęła ogromną warząchwią z kotła i wlała na miskę nieco kapuśniaku, w którym sterczał kawałek kości z odrobiną mięsa. Jedzenie to, wraz z drewnianą łyżką, podano Jankowi.

Bohater nasz zjadł połowę, a choć był głodny jeszcze, oddał drugą połowę rannemu psinie, który z wielkim apetytem połknął wszystko, wylizując starannie miskę. Cyganie też tymczasem jedli, myśląc zapewne, że Janek ma dosyć i że nie zasługuje na to, by mu więcej dawano. Kocioł został wkrótce wypróżniony, zdjęto go więc z ognia i zaniesiono na wóz.

Wtedy wyrostek cygański rzekł do Janka, wciąż wyszczerzając swe ostre i białe zęby, co zapewne u niego miało być przymileniem:

— Teraz śpij!

Jankowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Był ogromnie znużony. Same oczy kleiły mu się do snu. Owinął się więc swym płaszczykiem, okrył nim rannego psinę, ułożył się jak mógł najlepiej na miękkiej murawie i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz, ledwie świt szary rozjaśnił nieco mroczne głębie lasu, obudzono Janka.

Powstawszy, ujrzał wozy cygańskie już zaprzężone i spakowane — na jednym z nich siedziały stare kobiety i dzieci — wszystko było gotowe do podróży. Stary cygan stał na uboczu i, paląc nieodstępną fajkę, rozmawiał po cichu z dwoma innymi.

— Czy my pojedziemy? — spytał Janek swego towarzysza.

— Tak.

— A nie wiesz, dokąd?

— Hm! — ruszył ramionami cygan, wyszczerzając zęby — to tylko Rommo wie.

— A któż to jest Rommo?

— O ten! — mruknął, wskazując wzrokiem na starego cygana.

— To wasz król?

— Tak.

Teraz Janek począł się uważniej przypatrwać Jego Królewsko-Cygańskiej Mości. Istotnie wyglądał on bardzo poważnie i ubrany też był wspanialej, a nadewszystko cało i porządnie, czego o jego poddanych nie można było powiedzieć. Wciąż stał na uboczu i, paląc fajkę, rozmawiał z dwoma cyganami.

Tymczasem wyrostek rzekł do Janka:

— Będziesz jadł?

— I owszem — i mojej psinie wartoby dać śniadanie.

Cygan nic nie rzekł, tylko sięgnął ręką w zanadrze, wydobył kawałek czarnego chleba, rozłamał go na dwoje i, dając jedną połowę Jankowi, rzekł:

— Masz, jedz!

Janek podziękował mu pięknie i spytał:

— Jak się ty nazywasz?

— Cynga.

— Mój Cynga, ty będziesz moim przyjacielem.

Cynga wlepił w Janka swe duże, czarne, palące jak ogień źrenice i miał coś odrzec, gdy nagle rozległo się gwizdnięcie, więc tylko rzekł:

— Jedziemy! — Rommo gwizda.

Jakoż cała ta banda, postępując około wozów, ruszyła jakąś boczną, nieuczęszczaną widocznie drożyną, pełną zielska i wybojów, w głąb lasu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



MACIEK BZDURA GADA:

Pono wszędzie na świecie jest tak, ze jak się umnozy ciele, to jest ono cielęciem; jak się umnozy koń, to jest po wiecne casy koniem, a jak się ulęgnie kurce, to nie ino dziś, ale i jutro i pojutrze, i bez cały rok będzie kurcęciem, i choćby nie wiem jak chto chciał zrobić z kurcęcia słowika, albo kanarka, to mu się to nijak nie uda, bo kurcę zostanie kurcęciem. A cemu ino jeden człowiek nie zawse tem jest, cem go Poniezus stworzył. Ilez się to razy zdarza, ze Poniezus tego i owego stwarza człowiekiem, a on się sam robi świnią.

A te wszyćkie ludzkie świnie to one nie są do siebie podobne: mamy ich kilka gatunków. Największe świnie ludzkie, to są świnie pijaki. Poniezus stworzył człowieka, aby ten porządnie chodził, rozumnie gadał i spokojnie się zachowywał. A taki świnia-pijak zapomina języka w gębie, gdy sobie ją trochę silną z mocną zaleje i bebdoli, co mu ślina na język przyniesie. Ze tam la siebie bebdoli, toby to nikomu nic nie skodziło, ale przecie takiego świnie-pijaka słuchają nieraz małe dziecka, które ucą się od niego wszyćkiego złego, a nigdy dobrego. Taki świnia-pijak traci sacunek u ludzi, nikt go za nic ni ma, a bez to jest gorsy, jak rodzona świnia, bo z tej choć tłusta spyrka na Wielkanoc się wykroji, a ze świni-pijaka nawet flaków nikt nie zrobi.

Drugi gatunek ludzkiej świni to jest świnia-złodziej. I taka świnia znowu jest gorsa od prawdziwej świni. Bo kiedy prawdziwa świnia wlizie w cudzą skodę i dostanie po ryju, to tam więcej nie pójdzie. A ludzka świnia choćby i sto razy po swym ryju dostała, to jej nic nie pomoze, ale zawse będzie w cudzym majątku ryła.

Trzecia ludzka świnia, to jest świnia-bajcarka. Taka świnia jest jesce gorsiejsa od świni złodzieja. Bo jezeli świnia złodziej zwędzi co z cudzej komory, to jej to moze jesce siandar choćby z ryja wydrzyć i temu, cyje to było, oddać. A choćby i nie wydarł, to cy tak, cy siak świnia-złodziej musi to wynagrodzić. Ale jak świnia-bajcarka uleje baję i puści ją w świat, to nima takiego siandara, którtyby ową baję do ryja świni nazad wepchał i obajconą osobę od podejrzenia uwolnił. Nie wierzycie, to nie wierzcie, ale ja wam dam przykład z nasej Psiej Wólki. Oto na samem końcu wsi siedzi sobie bidna gdowa. Gdowa ta przed paru tygodniami zachorowała i przez parę tygodni nigdzie się nie pokazywała. Sąsiadki wiedziały o tem, bo ją odwiedzały, a nawet widziały, jak był u niej ksiądz z Panem Jezusem. Ale jedna świnia-bajcara nie wiedziała o tem i nie widziała tego, a bez to nie mogła wiedzieć lacego ta gdowa nigdzie się nie pokazuje. I tak se to przybrała do głowy, ze w swoim ryju umliła wiadomość i puściła ją w świat, co ta gdowa lada dzień będzie prosiła na krzciny. Jedna świnia se zmyśliła, druga świnia to powtórzyła, a trzecia w to uwierzyła i rozgadała dalej. Co prawda, nie minęło i dni parę, a ludzie niktórzy się przekonali, ze to wszyćko świńska baja, byli jednak i tacy, którzy o samej baji się dowiedzieli, ale o jej nieprawdziwości do dziś dnia nie miał im kto powiedzieć i dalej w ową baję wierzą, a świnia-bajcara się raduje.

I takich świń ludzkich rozmaitego gatunku jest wiele na świecie. Poniezus stwarzał sobie człowieka, a docekał się świni. Ba! gorzej, jak świni, bo świnia zadna się nie upija, świnia cudzego z kumory nie rusy, choćby latego, ze się do kumory nie dostanie, świnia bajków dziać nie będzie, boby ją wstyd było przed jej świńskiemi ojcami. A świnia człowiek do wszyćkiego jest zdolny.

Ale nie o tem chciałem dzisiaj gadać, choć i to, co powiedziałem, jest przenajświętsza prawda.

Często choć z cłeka nie zrobi się świnia, ale pozostaje człowiek, to zdarza się, ze powinien on być cem inksem, a nie człowiekiem. Weźmy na przykład taką Wikte od Wrzecionki. Widzieliście ją? Prawda? Niby to powiadają, ze ona jest dzieuchą i jej się naprawdę tak zdaje. No i ono chyba tak jest, kiedy nie jest inacyj. Ale jak się kto raz dobrze na Wiktę przypatrzy, to zaraz zrozumie, ze przecie powinno być inacej. Scególniej w niedzielę, jak se Wikta grzywę wykręci, jak ją masłem wysmaruje, ze się škli na štyry mile i jak się roześmieje, ze to cłeku nie wiadomo, cy to ona się śmieje, cy źribica, to zaraz kuzden pozna, ze z Wikty nie powinna być dzieucha, ale plebańska źrybica.

Są inkse ludzie, których takze Poniezus stworzył na obraz i podobieństwo swoje, ale mimo to są oni podobniejsi do osła, anizeli do Pana Jezusa. Mam tu na myśli takich ludzi, którzy mogliby na gazytach spać, a ksiązki mieć pod głową, ale za nic w świecie na nieby nie popatrzyli. Ale połóz tak przy nich jakiego takiego zarcia, to rzucą się zaraz na to merusieńce jak osiołki i będą dopotąd zarły, póki, choćby brzusysko miały se wywichnąć, wszyćkiego nie zezreją. I cy takie stworzenie, które tylko o strawie cielesnej myśli, a duchowej unika, nie jest podobniejse do osiełka, anizeli do człowieka. I zapytać się ino godzi, cemu to Poniezus takiego stworzenia odrazu o štyrech nogach nie stworzył, ale dał mu niby duse i rozum.

A takich rzecy moznaby tysiące i tysiące naprzytacać i gadać o tem do Zielonych Świątek, gdyby było ino miejsce. Ale skoda na to casu, bo kto chce być bydlęciem, to będzie i zadne Maćkowe gadanie na to nie pomoze!

BORUTA, DJABEŁ ŁĘCZYCKI.



Wieczorami wdrapywał się na wierzbę i napastował podróżnych.

W dawnych latach, kiedy jeszcze istniała Polska niepodległa, a szlachta ówczesna więcej czasu na wojenkach traciła, aniżeli na zbożnej pracy, inaczej było aniżeli teraz. Podróże z orężem w roku po dalekich krainach, ciągłe utarczki z nieprzyjacielem wnosiły w rody szlacheckie pewne rozpasanie, a że szlachta była skłonna do bijatyk i pijatyk, więc się też często zgromadzenia, czy uczty, kończyły krwi rozlewem, a często i śmiercią.

Cieszył się z tego djabeł, cieszyli się jego towarzysze w piekle, gdyż żniwo w Polsce mieli obfite. Lucyper, aby zawsze djabeł był na zawołanie w każdej potrzebie, umieścił jednego ze swych poddanych na zamku w Łęczycy, skąd miał pilnować całej okolicy. Djabeł ów przybrał postać szlachcica polskiego, a tylko tem różnił się od niego w swoim wyglądzie zewnętrznym, że miał palce zaopatrzone w pazury, a na głowie dobrze ukryte rożki. Ponieważ Łęczyca leżała wśród olbrzymich borów, po których początkowo ów djabeł urządzał swe łowy, więc zwano go powszechnie Borutą.

Boruta osiedliwszy się w zamku łęczyckim, postanowił przedewszystkiem nagromadzić tam wielką ilość skarbów, gdyż przypuszczał, że te w przyszłej działalności będą mu niezbędne. W tym celu wieczorami wydrapywał się na wierzbę, skąd napastował podróżnych, przejeżdżających tamtędy, łamał im koła, wpychał do płynącej rzeki, lub inne płatał figle, aby skorzystać z nich i w czasie zamieszania dobrze się obłowić. Boruta polował przedewszystkiem na ludzi bogatych, ale niejednokrotnie i biedakowi przytrafiła się smutna przygoda.

W owych czasach mieszkał w pobliżu zamku łęczyckiego szlachcic niewiadomego nazwiska i herbu, rosły i silny. Nikt z nim nie mógł się mierzyć na szable, bo za pierwszem złożeniem potężnym zamachem przeciwnikowi wytrącał oręż z ręki. Pewnego razu oparł się o zrąb domu tak silnie, że dom zwalił się na ziemię, przytłaczając kilku szlachty, którzy do niego z bronią w ręku poskoczyli. Kiedy zawinął młynka swą szablicą, wszyscy uciekali od niego, jak oparzeni.

Szlachcic ów nosił na sobie stale siwą kapotę i dlatego go Siwym nazwano, a powszechne było mniemanie, że Siwy ma spółkę z Borutą, chociaż tak nie było. Ale czego to ludzie w człowieka nie wmówią? Jak zaczęto sobie opowiadać o spółce Siwego z Borutą, tak Siwy coraz bardziej zaczął przemyśliwać nad tem, czyby to rzeczywiście nie było dobrze już nietyle wejść w spółkę z samym Borutą, co z jego skarbami, jakie miał nagromadzone w zamku łęczyckim i których pilnował tak zawzięcie.

Siła jego wbiła go tak w dumę, że niejednokrotnie odgrażał się, że jak złapie Borutę, to mu żebra połamie, albo karku nakręci, a skarby, których pilnuje zabierze.



Na kupie skarbów siedział Boruta w postaci sowy.

Kiedy Siwy wypowiadał takie pogróżki, wtedy dawał się słyszeć w piecu lub za piecem śmiech szyderczy. Kiedy Siwy pił, a pił nielada, bo mu nawet dziesięciu szlachty dorównać nie mogło, wówczas pierwszą czarę wychylał za zdrowie djabła Boruty, a wtedy zaraz rozlegał się głos gruby, przeciągły, jakby z podziemnego lochu wychodzący:

— Dziękuję Waszmości!

Siwy miał dużo pieniędzy, ale wkrótce w hulankach je roztrwonił. Gdy mu ich więc brakło, postanowił dostać się do skarbów w lochach łęczyckich i wziąć z parę mieszków złota od swego miłego pana brata, jak nazywał djabła Borutę. Siwy, ufając swojej sile i szabli, którą dobrze wyostrzył i przymocował do ręki rzemykiem, o samej północy, zapaliwszy latarnię, poszedł do lochów łęczyckich.

W lochach ciemność panowała okrutna. Słabe światło latarni rozświetlało zaledwie najbliższe otoczenie, płosząc całe gromady szczurów, ale Siwy nic sobie z tego nie robił. Zapuszczał się coraz dalej i dalej. Błąkał się tak po lochach ze dwie godziny, napotykał różne zakręty, zapuszczał się w mniejsze i większe zagłębienia, ale skarbu nigdzie nie na-

potykał. Nie zrażał się tem jednak, ale szedł dalej i dalej. Aż dopiero po dwóch godzinach napotkał silne drzwi żelazne, które mu dalszą drogę tamowały. Siwy przystawił się do nich i jednem silnem pchnięciem drzwi wywalił.

Oczom Siwego przedstawił się nadzwyczajny widok. Oto na kupie skarbów siedział sam Boruta w postaci sowy z iskrzącymi oczyma. Poznał go Siwy odrazu, bo z pod pierza wyglądał kontusz i żupan, rogatywka zdobiła mu głowę, a nogi ubrane były w żółte buty szlacheckie z cholewami. Szable dobytą z pochwy trzymał Boruta pazurami. Naokoło było porozsypywane moc najróżnorodniejszych skarbów. Zbladł i zadrżał na ten widok zuchwały dotąd szlachcic i spocił się potężnie ze strachu; po chwili, przyszedłszy jednak nieco do siebie, wyrzekł z cicha z ukłonem i pokorą:

— Mnie wielce miłościwemu bratu kłaniam się uniżenie!

Boruta kiwnął uprzejmie głową, co rozweseliło i ośmieliło Siwego. Ukłoniwszy się raz jeszcze, zaczął wypełniać złotem i srebrem ogromne kieszenie swej kapoty i wory, które przyniósł ze sobą. Tak je wyładował, że ledwie mógł się obrócić.

Już świtać zaczynało, a Siwy nie przestawał garściami ściągać złota, a wreszcie, nie mając go gdzie chować, począł niem gębę napychać, a że miał niemałą, napchał go tam dość dużą ilość. Gdy już absolutnie nic więcej nigdzie nie mógł wypchać, ukłonił się pierzastemu stróżowi i wyszedł z lochu.

Zaledwie jednak stanął na progu, drzwi się same zatrzasły i ucięły mu piętę. Kulejąc i krwią znacząc ślady kroków swoich, obładowany skarbami, dobywając ostatka siły, dawniej tak potężnej, ledwie doszedł do swego dworku.

Upuścił na podłogę złoto i srebro, wypluł z napchanej gęby skarby, a sam padł wysilony i chory. Odtąd miał dużo pieniędzy, ale stracił siłę i zdrowie. Przestękał krótkie już życie, i gdy w kłótni o miedzę graniczną wyzwał na pojedynek sąsiada, szlachcic ten, którego dawniej jednym palcem obalał Siwy, pokonał bogacza i położył trupem na miejscu.

Dworek Siwego stał odtąd pustką, a choć był niezamknięty i pełen skarbów, nikt się po nie nie kwapił, bo sąsiedzi gardzili djabelskiem mieniem. Nocami więc dostawał się tam Boruta i z powrotem przenosił złoto i srebro do lochów zamku łęczyckiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Bez serca".

Do sanatorjum nerwowo chorych w Krakowie przyszedł młodzienic elegancko ubrany, lat dwadzieścia cztery, ładny z twarzy i postawy. Włosy jego ciemne, oczy czarne, wąsy jedwabiste, typ niezaprzeczenie piękny, z tych jakie zawracają głowy kobietom. Młodzieniec poprosił jedną z pielęgniarek, by ta raczyła zaanonsować o jego przybyciu doktorowi N... Wkrótce ukazał się lekarz. Niebieskie modre jego oczy dziwnie spoglądnęły na młodzieńca.

— Przepraszam, czy mógłbym zobaczyć przebywającą tu Jadwigę Galonównę? — zapytał.

Głos jego dźwięczał spokojnie, jeno dłoń trzymająca laskę lekko drgnęła.

— Dobrze — zobaczy ją pan — odpowiedział doktór. Pan pewno jest jej krewnym, lub narzeczonym?

— Nie panie, ani krewnym, ani narzeczonym. Znam Jadwigę Galonównę od dawna i mam dużo współczucia dla jej niedoli. Proszę pana doktora, niech pan nic nie ukrywa przedemną.

— Oświadczam panu, że niema najmniejszej nadziei, aby chora mogła być wyleczona. W obecnym zaś stanie może być całe lata. Po całych dniach siedzi nieruchoma bez śladu cierpienia, bez ruchu, — jak kamień. Cierpi na tę głęboką, cichą melancholję, która rzadko ustępuje przed najenergiczniejszymi środkami lekarzy. Szkoda jej bardzo, bo piękna i młoda.

— Nie jednej rzeczy w życiu trza żałować — odparł młodzieniec.

— Chodź pan ze mną do ogrodu, chora obecnie znajduje się tam.

Szli alejami zasypanemi pożółkłemi liśćmi, które ze strachem skręcały się — szepcąc: Minęło wszystko: miłość i szał, a teraz nam koniec. Na jednej z ławek w towarzystwie pielęgniarki siedziała Jadwiga, a oczy bezmyślnie były utkwione w jeden punkt. Młodzienic zwrócił się do doktora, aby ten mu pozwolił zostać sam na sam z chorą.

— Nie mam nic przeciw temu — odpowiedział uprzejmie doktor.

Młodzieniec poszedł do chorej — wołając cicho:— Jadwigo!

Chora podniosła głowę i potarła ręką czoło.

— Jadwigo, nie poznajesz mnie?

Chora spojrzała i znów pogrążyła się w niemej konteplacji. Młodzieniec patrzył w chorą, w tem czole dumnem, w tych oczach ciemnych, w których ongi płonęły ognie miłości i zapału — teraz nie można się dostrzec cienia życia. Młodzieniec stał jak wryty, a myśl jego snuła nić przeszłości. Poznał ją już dawno i kochał. Ona była dla niego idealną Jadwinią. A potem coś zaszło, „wielkie nic" zgniewał się i powiedział jej:

— Chciałem ci bólu oszczędzić, więc z tem ściągałem, ale przyszedł czas, kiedy już więcej milczeć nie mogę. Musimy się rozejść, żenić się z tobą nie mogę, a jeno dlatego, że cię już nie kocham. Musisz się pogodzić z losem; on jest od nas silniejszy. Do śmierci wdzięczny ci będę za każdą chwilę z tobą spędzoną.

— Ja umrę, albo oszaleję — szeptała z płaczem.

— Nic ci się nie stanie, ochroni się od tego wychowanie, jakie odebrałaś w twej rodzinie.

Zbladła śmiertelnie i pełnemi od łez oczyma patrzyła na niego, mówiąc:

— Bez serca, bez serca! Zamorduj mnie, ja żyć nie chcę! — i silnie odepchnęła jego rękę.

Na drugi dzień już była w szpitalu. A teraz martwa i nieprzytomna siedzi przedemną. Wszak to ja jest zbrodniarzem, który doprowadziłem ją do tego stanu, w jakim się znajduje. Boże przebacz mi zbrodnię... Boże przebacz.

W chwili, gdy młodzieniec myślał tak i patrzył w chorą, ta wyszeptała:

— Ludwiku!

Zbliżył się do niej i wziął ją za rękę.

— Jestem przy tobie.

— Nie, nie, tyś nie Ludwik.

Nadszedł doktor.

— No co? — zapytał.

— Nieprzytomna — odparł młodzieniec.

Pożegnał doktora i wyszedł. Był zamyślony i przybity doznanemi wrażeniami. Naraz głowę podniósł do góry, twarz miała już wyraz pogardliwy, a usta szeptały słowa:

— Precz z litością! Precz z żalem! Precz z smutkiem! Precz!

Maryśka z Kamionki.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Birma.

Cywilizacja ma taką moc w sobie, iż nie wiadomo kiedy zalewa sąsiednie kraje, przedostaje się przez góry i morza i wsącza się w najodleglejsze okolice. Wielką falą idzie ona z zachodu ku wschodowi, a że jeszcze nie wszędzie dotarła, to nic dziwnego, bo ma drogę długą i uciążliwą. Cywilizacja nie zależy tylko od woli ludzkiej, ale jeszcze więcej od klimatu, od



Typy dzieci karyańskich.

przyrody i od wszystkiego, co w danej okolicy się znajduje. Jeżeli to weźniemy pod uwagę, to nie zdziwimy się, że dotarła ona do Ameryki i całą ją opanowała, że wzięła w swe posiadanie większą część Azji, a natomiast, mimo wysiłków nie może dotrzeć w głąb Afryki.

Kiedy już zwiedziliśmy w naszych podróżach wyspy Oceanji i dotarli do Filipin, to przerzućmy się na azjatycki ląd stały i przypatrzmy się, jak tam sytuacja się przedstawia.

Pominąwszy dzieje starożytne, jak takiego Aleksandra Wielkiego Macedońskiego, który wielką część Azji, choć na krótko opanował, to przez wiele lat Europejczycy nic w Azji nie mieli do gadania. Z czasem jednak, górując oświatą nad narodami wschodniemi, narzucili narodom tym swą wolę i nad wielu z nich zapanowali. Uczynili to w pierwszym rzędzie Anglicy, którzy mają dziś swe posiadłości w wszystkich częściach świata. Nie mogli więc pozostawić i Azji na uboczu, ale owszem wcisnęli się do niej i dobrze usadowili. Opanowali więc przedewszystkiem półwysep Indyjski, a następnie posunęli się dalej ku wschodowi i zagarnęli w swe posiadanie kraj rozmaicie zwany, jak Birma, Burma lub Barma. Pierwsza jednak nazwa ma najwięcej zastosowania.

Birma zajmuje większy obszar ziemi, aniżeli nasza Polska, choć ludność jej nie przekracza 10 miljonów. A i ta nieliczna ludność podzielona jest podobno na 300 rozmaitych plemion, które jednak tak są do siebie podobne, że podział ten można sprowadzić do 4 lub 5 typów. Najważniejszymi są: Birmanowie, Kamtyowie, Karyanowie i Peguanowie.

Kamtyowie są z pośród nich najbardziej ucywilizowanem plemieniem. Już znacznie niżej stoją Kakyenowie. Są oni dla podróżnych bardzo niebezpieczni, gdyż podrażnieni najlżej w jakikolwiek sposób kłóją zaraz długim nożem, który stale przy sobie noszą. Prawie wszyscy są tatuowani, zwłaszcza kobiety malują swe ciało gustownymi i dobrze wykonanymi deseniami, które służą za ozdobę i zarazem za pismo czarodziejskie dla odpędzenia chorób i uroków. Bogaci Kakyenowie noszą w uszach srebrne pręciki, wszyscy zaś stroją się w pasy obwieszone dzwoneczkami, muszlami lub blaszkami, wydającemi przy chodzie dziwną harmonję.

Karyanowie żyją w południowej Birmie. Jest to najwybitniejszy szczep w całem tem rozległem państwie, a jeżeli uważają ich za niższych od prawdziwych Birmańczyków, to tylko dlatego, że kilka ich plemion żyje jeszcze w stanie zupełnej dzikości.

Wszyscy Karyanie, żyjąc gromadnie po pięć i sześć rodzin w jednej zagrodzie, są zawsze ze sobą spokrewnieni, bo małżeństw poza obrębem swego siedliska nigdy nie zawierają. Jedna lub dwie wielkie chaty, w których mieszka kilka rodzin, całą wieś stanowią. Po kilku latach taka rodzinna gromada opuszcza swoje pola, aby założyć nową osadę w lesie na ziemi dziewiczej, a to dlatego, jak sami mówią, aby uciekać przed złymi duchami, które już zbyt rozmnożyły się dookoła ich domów i aby znaleść miejsce wolne, jeszcze niezajęte przez tych nieprzyjaciół.

Wogóle wiara w duchy jest powszechną w całej Birmie; modlą się do nich, czczą ich, lecz więcej



Słonie wśród dziewiczych lasów.

z obawy, aby im nie szkodziły. Gdy Karyanin błogosławi nowonarodzone dziecię, wypędza kolejno ze wszystkich stron ubóstwo, nieszczęście, ułomności, podłość i lenistwo: „Nieszczęścia wszelakie idźcie stąd i nie wracajcie!“ — woła ojciec z powagą, a następnie tym samym pręcikiem bambusowym przywołuje duchy dobre, duchy opiekuńcze, wpierw jednak te, które umacniają w cnocie, nie te, które szczęście doczesne przynoszą; dlatego wpierw woła: „Przybywaj prawości, przybywaj uczciwości!“ — a następnie dodaje: „Przybywaj bogactwo, przybywaj znaczenie u ludzi! Dobra wszelakiego rodzaju przybywajcie!“

Pomimo tych wrodzonych cech dodatnich panuje wśród Karyanów zepsucie i dzikość. Gdy Karyanin chce się zemścić potajemnie, wzywa duchy powietrzne, aby mu z pomocą przybyły, przeklina o zachodzie słońca trzy dni z rzędu swego nieprzyjaciela, bierze do ręki zapaloną lecz gasnącą gałąź, zgniłe jaje i zepsute resztki jedzenia i mówi: „Oby życie twoje zgasło, jak ta gałąź! Bądź pozbawionym potomstwa, jak to zgniłe jajo! Oby koniec twój podobny był do tych szczątków!“ — i tem podobne bezeceństwa.

Podróżni opowiadają, że potęga opinji publicznej jest tak wielką u niektórych plemion karyańskich, że człowiek oskarżony o zły jakiś czyn przed swymi towarzyszami, sam na sobie wyrok śmierci wykonuje bez żadnego oporu; udaje się na miejsce odległe, sam grób kopie dla siebie, a następnie sam sobie życie w nim odbiera.

Peguanowie zlali się już niemal zupełnie z Birmanami i swoimi zwyczajami i obyczajami nie różnią się prawie od Europejczyków. Birmanie ubierają się bardzo bogato w materje o jasnych barwach, krzyczących kolorach, ale zawsze gustownie udrapowane. Draperje u kobiet spadają poza kolana, otwierają się po bokach, aby nie krępować chodu.

Podobnie, jak w innych częściach Indji, tak i w Birmie wszystkie dziewczęta wychodzą za mąż, lecz małżeństwa nie kojarzą się w zbyt wczesnym wieku. Kobiety w życiu potocznem uważane są za równe mężczyznom, biorą udział w sprawach familijnych i żadne postanowienie nie może być uchwalone bez ich rady. Kobieta birmańska ogromną cieszy się władzą, a umiejąc połączyć silną wolę z wdziękami swojej osoby, nadaje obyczajom krajowym wybitne cechy. Jedno życzenie wyrażone przez małżonkę naczelnika wioski wystarcza, aby dumny Birman poszedł rozsiewać śmierć i pożogę. Pełne wdzięku i uroku, grzeczne, czynne i bardzo przebiegłe, wywierają w swoim kraju pewien rodzaj niezwyciężonego wpływu, a ponieważ powaga ta wpływa na ich dumę i samolubstwo, dlatego najczęściej ściąga smutne następstwa. Wszędzie i zawsze kobieta w Birmie chce mieć i ma w rzeczywistości pierwsze miejsce.

Jak w całych Indjach, tak i w Birmie, obok ryżu ze wszystkich zbóż najwięcej uprawiają pszenicy. Po wybrzeżach rośnie palma kokosowa, banany i papaja, orzechy, pieprz i imbier. Ogromnie wzrasta też uprawa bawełny.

Lasy tamtejsze posiadają jeszcze dość dużą ilość słoni, a Birmańczycy chętnie też na nie polują. Trzy takie słonie, kroczące wśród dziewiczych lasów tamtejszych widzimy właśnie na naszym obrazku. Cechuje je powaga i pewność siebie, że wśród tych dziewiczych borów nic się im nie stanie. Spotyka je jednak często zawód, gdyż Birmańczycy posiadają wiele sposobów, aby takiego olbrzyma ująć i narzucić mu swą wolę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ślepa niewolnica.

Rozdział XLII.

Sefan.

Czerwony Sarafan i tym razem uniknął śmierci. Żołnierze tureccy, którzy święcie wierzyli, że obecność jego w obozie, przyniesie im nieszczęście, nietylko w nocy uwolnili go z strasznej niewoli, ale nawet ułatwili ucieczkę.

Opuściwszy szczęśliwie obóz turecki, Sarafan puścił się prosto do Sobieskiego.

Znał on okolicę dokładnie i śpieszył wiedząc, że zrana ścigać go będą.

W ciągu nocy, gdy szedł przez las, nagle otoczyli go jeźdźcy.

— To Czerwony Sarafan! — zawołali, — Czerwony Sarafan żyje! Uciekł Turkom!

Był to rekonesans polski.

— Zaprowadźmy go do obozu! — mówili żołnierze, — był w Wiednlu, może wiele powiedzieć!

Czerwony Sarafan wsiadł z jednym żołnierzem na konia, ażeby prędzej do obozu dojechać.

Patrol przybył na miejsce o jasnym dniu.

Gdy żołnierze ujrzeli Czerwonego Sarafana, powstała wielka radość.

On także odzyskał wesołość, znalazłszy się pośród nich. — Natychmiast zaprowadzono go do króla.

Król podał przybyłemu rękę.

— Witaj mi Sefanie, rzekł, — Bóg cię ocalił z rąk nieprzyjaciół! Żyjesz i trafiłeś do mnie!

Czerwony Sarafan ukląkł.

— Uciekłem, panie, — rzekł, byłem w ręku twych wrogów, Turków!

— Byłeś przedtem w Wiedniu, Sefanie?...

Czerwonemu Sarafanowi sprawiło to widoczną przyjemność, że król nazywał go właściwem imieniem.

— W Wiedniu, tak, panie, — odrzekł, — wielka nędza panuje w Wiedniu!! Księżna Sassa wysłała mnie i Iszyma Beli do ciebie z prośbą o pomoc!

— Księżna Aminow?

— Odzyskała wzrok, panie!

— To dobra wiadomość! — zawołał król — więc Sassa jest jeszcze w Wiedniu i odzyskała wzrok! Mów dalej, Sefanie! Każde twoje słowo sprawia mi radość!

— Wysłała mnie i Iszyma Beli, aby ci donieść, że jeżeli prędko nie przyjdziesz, miasto będzie zgubione.

— Nie chce dłużej czekać i zwłóczyć!

— Iszym Beli zginął, panie!

— Doniesiono mi już o tem, Sefanie!

— I ja miałem być stracony. Wojewodzina Jagiellona nastawała na to.

— Jagiellona? — zapytał Sobieski, którego twarz nachmurzyła się, — powtórz to raz jeszcze, Sefanie! Jagiellona żądała twej śmierci?

— Więziła mnie w swoim namiocie, widziała medalik na mej szyji i pytała, skąd go mam.

— I powiedziałeś jej wszystko, Sefanie?

— Wszystko, com wiedział, panie.

— Biedny Sefanie! Daj Boże, żebyś nie wpadł powtórnie w ręce tej szatańskiej kobiety! Jagiellona jest twoją matką! Ona dała ci życie! Ona to trzymała cię uwięzionego i ukrytego, gdy byłeś dzieckiem, ażeby cię umorzyć śmiercią powolną!

Czerwony Sarafan słuchał z szeroko rozwartemi oczyma. To, co słyszał brzmiało dlań, jak słowa wymówione w obcym języku. Wojewodzina miała być jego matką?

Wstrząsnął niedowierzająco głową.

— Nie wierzysz temu, Sefanie, — rzekł król, — ale daję ci królewskie słowo, że tak jest. Jesteś synem wojewodziny Wassalskiej! Ta wygnana, niegodna kobieta nie warta jest nazywać się twoją matką. Chciała cię zgładzić! Ze wstrętem i przerażeniem mówię o takich zbrodniach przeciw naturze i wszelkim uczuciom ludzkim! Bezbożna ta kobieta nienawidzi cię i prześladuje! Ale teraz pozostaniesz przy mnie, pod moją opieką, ja będę twoim obrońcą!



Księżna Sassa wysłała mnie i Iszyma Beli do ciebie.

Czerwony Sarafan spojrzał na króla. Trudno mu było uwierzyć w te słowa.

— A teraz opisz mi obóz i powiedz liczbę Turków, — rzekł król do niego, — wojsko moje jest wprawdzie małe, pragnę jednak pośpieszyć na odsiecz Wiedniowi, pragnę podjąć walkę z wrogiem. Sefanie, armja moja jeszcze dzisiaj wyruszy!

Czerwony Sarafan opowiedział wszystko co widział, opisał królowi obóz i fortyfikacje, powiedział mu, jak były rozlokowane pułki tureckie, a Jan Sobieski znalazł w tej relacji potwierdzenie faktu, że wojska Turków były blizko dziesięć razy liczniejsze, niż jego. Nie zachwiało to jednak odwagi.

— Pozostaniesz przy mnie Sefanie, — rzekł.

— Dziś jeszcze wyruszasz, panie? — zapytał Czerwony Sarafan.

— Tak, dziś jeszcze, — odpowiedział król, — bitwa będzie krwawa! Śmierć, lub zwycięstwo, to nasze hasło!

Jan Sobieski, natychmiast wydał rozkaz do wymarszu.

Gdy król połączył się z wojewodą Sieniawskim, przybył do obozu książę Lotaryngski i zastał wojsko na wychodnem.

Książę, któremu król pokazał wojsko, był z jego postawy zadowolony.

W godzinę później nadciągnął książę Waldeck, ażeby połączyć się z królem. Widząc, że wszystko do wymarszu gotowe, wydał natychmiast rozkaz swoim, ażeby przyspieszyć pochód.

Książę Lotaryngski obiadował tymczasem z królem, który takie upodobanie znalazł w jego towarzystwie, że się dopiero w nocy z nim rozstał.

Naczelne dowództwo sił połączonych objął król.

Gdy pochód się rozpoczął, nadciągnęli inni sprzymierzeńcy i zebrało się razem 70.000 ludzi. W tej liczbie było 18.000 Polaków, 11.000 Sasów, 12.000 Bawarów, 9.000 Frakonów i Szwabów, którzy jednak, jak świadczą współczesne opisy, byli raczej przeszkodą niż pomocą.

Po połączeniu się wojsk, kapucyn Marek Awianus, którego papież Innocenty XI. umyślnie wysłał, odprawił mszę i rozdawał Komunję.

Wiadomość, że cesarz sam przybędzie, potwierdziła się wkrótce, co uspokoiło króla polskiego, który obawiał się, ażeby cesarz nie udał się inną drogą i nie wpadł w ręce Tatarów.

Tegoż dnia odbyto wielką naradę wojenną. Jeszcze nie zgodzono się, jaką iść drogą, gdy król rozkazał piechocie wyruszyć naprzód i kawalerji torować drogę.

Powoli zbliżono się do Kahlenbergu. Dzień rozstrzygający był blizki.

Rozdział XLIII.

Wdowa.

Długi wspaniały orszak żałobny postępował ulicami Wiednia ku cmentarzowi położonemu w bliskości wałów, na którym zbudowano grobowiec. Większa część mieszkańców Wiednia brała udział w żałobie księżnej Aminow, która utraciła małżonka.

Trumna, w której spoczywał książę, przyozdobiona kwiatami i wieńcami, umieszczona była na okrytym kirem wozie żałobnym, który ciągnęło sześć koni. Około karawanu szła służba zmarłego.

Młoda wdowa w czarnych szatach była jeszcze piękniejszą, niż zawsze. Łzy błyszczały w jej wielkich oczach, na twarzy była widoczna niewymowna boleść.

Była znowu sama na świecie. Książę, jej podpora, jej wybawca i opiekun, opuścił ją. Nie była wprawdzie teraz biedną niewolnicą z Sziras, była bogatą, była wdową po księciu, ale całe to bogactwo nie mogło jej powrócić opiekuna, nie mogła się pocieszyć po jego stracie.

Gdy obchód żałobny skończył się, gdy trumna zmarłego księcia złożoną została do grobowca, księżna powróciwszy do cichego i próżnego pałacu, padła na kolana i odmówiła gorącą modlitwę.

Po modlitwie uczuła się spokojniejszą i pokrzepioną.

Głos wewnętrzny mówił jej, że ma jeszcze na ziemi święty obowiązek do spełnienia: łagodzenie nędzy biednych oblężonych, przy pomocy swoich bogactw.

Myśl ta krzepiła ją i pocieszała.

Gdy noc zapadła, armaty odezwały się na nowo. Oblęgający rzucali ogniste kule do miasta, które ogromnemi łukami przelatywały w powietrzu jak komety.

Był widok straszny i wspaniały zarazem. Huk armat nie ustawał prawie ani na chwilę. Turcy widocznie pragnęli zmusić miasto do poddania się.

Miastu zaczęło brakować amunicji. Ażeby oblęgający nie domyślili się tego, wznawiano ogień od czasu do czasu.

Jedna z kul ognistych padła na dom, w którym znajdowali się ranni, i w kilka minut gmach ten stanął w płomieniach.

Był to straszny wypadek.

Chorzy, mogący jeszcze chodzić, wyskakiwali półnadzy z płonącego budynku. Inni stali na górze, w oknach i krzyczeli rozpaczliwie.

Wkrótce na placu przed domem ukazała się księżna wdowa, której doniesiono o tym wypadku.

Dodawała ona odwagi niektórym wahającym się mężczyznom, ażeby ratowali nieszczęśliwych, przyrzekając im znaczne nagrody.

Skłoniło ich to nareszcie, żeby pospieszyli do domu dla ocalenia ginących.

Chwilę potem byłoby już zapóźno, gdyż ogień szybko się szerzył i nie można było myśleć o ugaszeniu go.

Sassa hojnie wynagradzała ratujących za każdego ocalonego.

Gorliwym usiłowaniom powiodło się wreszcie ocalić wszystkich rannych chorych. Zaledwie jednak ostatni z nich został uratowany, palący się budynek zawalił się z strasznym hukiem.

W innych także miejscach palące się kule wszczęły pożary, mieszkańcy jednak zdołali je sami ugasić.

Księżna Aminow pojawiała się wszędzie, zachęcając do odwagi, nagradzając ratujących, nędzę.

Środki do życia tak się wyczerpały, że rozdawać musiano coraz mniejsze racje. Gdyby prędko nie umożebniono dowozu, należało się obawiać wybuchu chorób zaraźliwych.

Wskutek tego dowódzcy załogi wiedeńskiej z inicjatywy dzielnego hrabiego Stahremberga postanowili zrobić wycieczkę, w nadzieji, że może im się uda przebić łańcuch oblęgających i zabrać im pewną część żywności.

Przygotowania do wycieczki czynione były w wielkiej tajemnicy. Przez cały dzień poprzedni, armaty oblężonych odpowiadały na ogień oblęgających. Nad wieczorem dopiero zamilkły.

Niebo pokryte było chmurami, padał deszcz drobny, gęsty jak mgła.

Turcy także zaprzestali strzelać, gdyż nic widać nie było. Kule ich zresztą z małymi wyjątkami nie dosięgały celu, gdyż inaczej oddawna połowa miasta byłaby zburzoną.

Deszcz podobny do mgły sprzyjał zamiarom oblężonych. Załoga miasta wprawdzie wskutek chorób i strat w boju zmniejszyła się z czternastu do pięciu tysięcy, ale hrabia Stahremberg odważył się na wycieczkę na czele tej garstki, straż zaś wałów tymczasem pełnić miała straż na wałach, na wieżach i przy bramach.

O dziewiątej wieczorem załoga pod wodzą Stahremberga opuściła miasto. Było tak ciemno, że o pięć kroków nic widzieć nie było można. Mały oddział piechoty wysłano naprzód na rekonesans. Dalej szedł Stahremberg z resztą wojska.

Zimny wiatr jesienny szumiał gwałtownie i zagłuszał wszelkie inne odgłosy. Złowroga noc zapadła. Żołnierze ruszyli naprzód. Nagle rozpoczęła się żywa utarczka pomiędzy przednią strażą załogi i placówkami tureckiemi. Wystrzały zaalarmowały oblęgających w przekopach.

Natychmiast hr. Stahremberg dał hasło do ogólnego ataku i z całą siłą rzucił się na nieprzyjaciela.

Należało jednakże zachować ostrożność, ażeby się nie dać otoczyć. Gdyby wojsko, które brało udział w wycieczce zostało odcięte od miasta, miasto byłoby bezwarunkowo zgubione.

Z bohaterską odwagą załoga idąc za śladem dzielnego dowódzcy, postępowała naprzód, nie zważając na przewagę nieprzyjaciela, który ściągał wciąż nowe pułki. Szło o zdobycie żywności i danie oblęgającym dowodu, że miasto jeszcze nie straciło odwagi.

Walka trwała kilka godzin.

Nad ranem, gdy się nieco rozjaśniło, hrabia Stahremberg uznał niemożność odniesienia pomyślnego rezultatu z wycieczki.

Waleczność załogi oparła się przeważnym siłom, lecz jakże ciężkiemi ofiarami opłacić to musiała. Około tysiąca ludzi poniosło śmierć w tej wycieczce.

Strata Turków była przeszło dwa razy większą.

Załoga cofnęła się powoli pod osłonę murów i wałów Wiednia, lecz bez zaopatrzenia w żywność.

Nazajutrz po wycieczce kazał komendant wszystkim wojskom stanąć pod bronią i wtedy dopiero okazało się, jak znaczną była poniesiona strata. Nędza wzrastała, żywności nie było, wszystkie zapasy zostały wyczerpane, powoli i nawet za pieniądze nic dostać nie było można.

Sassa jednak była gotową do wszystkich ofiar. Rozdawała pieniądze, dzieliła się z oblężonymi czem mogła.

Jak istota zesłana przez Boga dla ulżenia nędzy i podania pomocy uciśnionym, ukazywała się wszędzie, jak dobry anioł wdowa po księciu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Karły“.

(Opowiadanie ludowe.)

Dawno już temu, bardzo dawno, kiedy to u nas rosły ogromne lasy, bagna, rzeki pokrywały pola, wszędzie były trzęsawiska i manowce. Wśród takich lasów i gęstwin żył drobny naród zwany karzełkami, mający swojego króla i swój rząd. Żywiły się te karły jagodami, grzybami, żołędziami, suchemi roślinami, nawet i mięsem. Miały te karły swoje domki małe po lasach, tak jakoś ukryte, że nikt z ludzi nigdy takiego domku jeszcze nie znalazł. Różni, różnie o tych karzełkach mówili, bo też karzełki odgrywały naonczas ogromne role, nawet dla ludzi.

Zdarzało się nieraz, że zachorowała jakaś biedna kobieta sama będąca na świecie w swej nędznej chacinie, to wówczas przychodziły nocą do niej karły, myły jej garnki, gotowały i karmiły chorą, a takie to małe było, że do kieszeni mogło ze czterech się zmieścić. Ale karły były także mściwe, jeżeli od ludzi doznały krzywdy.

Oto pewnego razu zabłądził jeden karzeł do chaty za lasem wieczorem, celem dowiedzenia się, czy kto nie potrzebuje pomocy, by mu pomóc jadła nanieść dla swoich. Wybrał się ten karzełek, a kiedy wszedł do domu, napotkał w sieni herod-babę, która go przywitała gorąco:

— Tuś przysed nicponiu, by kielo niescęście mie nagabiło, a pudzies! — i chwyciła karła i obiła go sowicie.

Z piskiem powrócił do lasu karzełek mały. Dowiedział się o tem król karłów i postanowił się zemścić. Wieczór wyszedł z lasu na czele prawie stutysięcznej armji i otoczył dom zaczepnej baby. Poukrywały się karły koło płotu, studni, pod cegłami i gdzie tylko który mógł — czekali, aż drzwi zamknięte baba otworzy. Ale darmo, drzwi były zamknięte, baba siedziała w swej chacie. Król więc, który swych poddanych z dwa razy przewyższał, pospieszył do lasu po lisa. Przywędrował więc ze swym domowym lisem na

podwórko baby, a sam ukrył się za studnią. Lis począł chwytać kury na podwórku. Zobaczyła to baba, a rozwścieczona na rabusia, chwyciwszy kawał drewna, wybiegła na podwórko. Lis nie uciekał, tylko udawał trwożliwego i obiegał dookoła babę, baba zamachnęła się na krzywdziciela, a straciwszy równowagę, padła na ziemię jak długa. Król karłów, który tymczasem z za drzwi sieni przyglądał się gonitwie świsnął i cały rój karłów jak mrowie pokryło nielitościwą babę. Krzyczała, błagała przestraszona, odrzucała karłów, dusiła, aż pokłóta czemś przez nich uległa ich przemocy. Leżała jak kłoda, a król siedział jej na głowie i śmiał się piskliwym głosem. A wówczas jeden z karłów, wylazłszy jej na plecy tak począł nucić:

Cyt, cyt o bracia mili,
Jużeśmy ją obili —
Tak zawsze róbmy z jędzą,
Kiedy ją plecy swędzą.

I karły podążyły znów w dziewicze lasy, a baba, opamiętawszy się, klęła na natrętne stworzenie. A piosnkę, którą karzeł nucił, jeszcze do dziś dnia nucą w niektórych miejscowościach tylko trochę w odmienny sposób. *Kazimierz Skoczyński.*



Poradnik gospodarczy.

Znaczenie wapna w gospodarstwie.

Użycie nawozów sztucznych jest niezbędne w gospodarstwach, które pragną zbierać wyższe plony. Sprawy te rozumie już duża część naszych gospodarzy i choć niezawsze umiejętnie i w dostatecznych ilościach, jednak nawozy sztuczne stosuje.

Gorzej jest z użyciem wapna dla celów rolniczych, pomimo, że jest ono u nas oddawna znane. Niewielu jest gospodarzy, którzy zdają sobie należycie sprawę ze znaczenia wapna w glebie. Wapno działa na glebę wszechstronnie, gdyż jest nietylko pokarmem dla roślin, ale wpływa nadzwyczaj korzystnie na fizyczny i chemiczny stan roli, ułatwiając jednocześnie życie drobnoustroi, potrzebnych dla rozwoju roślin uprawnych. Przyjrzyjmy się bliżej jego oddziaływaniu.

Ziemie, które zawierają wapno są przepuszczalne, czyli że woda łatwo przesiąka w głąb, a jednocześnie, co się z tem łączy i przewiewne, a więc powietrze łatwo przez nie przenika. Dalej wapno przyczynia się nadzwyczajnie do zgruźlenia się zlewnej roli, a wiemy, że gruzełkowata budowa roli jest konieczną do korzystnego rozwoju roślin uprawnych. Te trzy cenne właściwości wapna, a więc zwiększenie przepuszczalności, przewiewności i zniesienie zaskorupienia się zlewnej roli, oddziaływują na zmianę gleb zimnych, mokrych i mało czynnych, na ciepłe i czynne.

Wapno, przyspieszając procesy wietrzenia ziemi wpływa jednocześnie na rozpuszczanie się związków potasowych, trudno dostępnych dla roślin. Najważniejszem działaniem chemicznem wapna jest jednak odkwaszenie ziemi.

Wiemy, że na ziemiach kwaśnych rośliny uprawne źle się rozwijają, dając nędzne plony, po zwapnowaniu zbierzemy podwójny plon, gdyż rośliny będą się rozwijać normalnie.

Jako bezpośredni pokarm dla roślin, wapno jest również konieczne jak azot, potas i fosfor, jednak nie dla wszystkich roślin w jednakowym stopniu. Niektóre rośliny wymagają większej ilości wapna w glebie, drugie zaś rozwijają się najlepiej przy jego małej ilości.

Najwięcej potrzebują wapna: koniczyny, grochy, bobiki, mniej już rzepak i buraki, jeszcze mniej rośliny kłosowe, ziemniaki, a najmniej łubiny i seradela.

Pod wpływem wapna, kapitał nawozowy ziemi jest jest wyzyskiwany przez rośliny szybciej i obficiej, stąd widać, że wapno wymaga obfitszego dostarczania ziemi pokarmów potrzebnych roślinom, innemi słowy wapnowanie winno iść równolegle z lepszem nawożeniem roli obornikiem i sztucznemi nawozami.

Stałe użycie nawozów sztucznych stałby się mogło prędzej czy później zupełnie nieopłacalne bez zastosowania wapna, gdyż pod wpływem nawozów sztucznych budowa ziemi zmienia się, wapno znajdujące się w glebie, szybko wyługowuje się, kwas fosforowy, nie znajdując wapna, przechodzi w formę nieprzyswajalną dla roślin; wszystkim tym ujemnym działaniom zapobiega wapnowanie ziemi. Pamiętać więc musimy, że obok znanych nawozów przewiewnych i azotowych, fosforowych i potasowych mamy nawozy wapienne, które również należy stosować w naszych gospodarstwach.

Poradnik kucharski.

Pieczeń po angielsku. Kawałek krzyżówki i zrazówki ubić, posolić i zlać gorącym octem. Rozpuścić w rondlu łyżkę masła, wkrajać 2 marchwie, dać trochę korzeni, dać na to mięso, na wierzch położyć jeszcze kawałek masła, przykryć szczelnie i niech się dusi, dopóki się nie zacznie rumienić. Wtedy podlać parę łyżek wody, wkrajać 2 cebule, przykryć i dusić jeszcze godzinę. W osobny rondel włożyć kawałek masła, jedną usiekaną cebulę, garstkę siekanej zielonej pietruszki wsypać na to świeżych szatkowanych lub suszonych gotowanych grzybków, dusić, aż zupełnie sos się wygotuje, wsypać łyżkę mąki, wlać kwaterkę śmietany, rozprowadzić sosem od pieczeni i pokrajaną na półmisku pieczeń oblać tym sosem.

Pieczeń z jajecznicą. Zrobić jajecznicę z 10 jaj na tłustej wędzonej szynce krajanej w kostkę. Pieczeń wołową, sparzoną octem, rozbić dobrze, rozpłaszczyć, posolić, popieprzyć, włożyć do środka jajecznicę, mięso dobrze zawinąć i wstawić w piec, obłożywszy plasterkami słoniny i cebuli. Na półmisku polać ostrym sosem.

KRONIKA.

Olbrzymi pożar w Czarnym Dunajcu. Onegdaj w godzinach wieczornych wybuchł w Czarnym Dunajcu wielki pożar; w płomieniach stanęły 23 stodoły wypełnione po brzegi tegorocznemi zbiorami i w krótkim czasie doszczętnie zgorzały. Spłonął także jeden dom mieszkalny. Wartość spalonego mienia wynosi około 150.000 zł. Pożar powstał z niezbadanej dotąd przyczyny. W akcji ratunkowej brały udział straże pożarne z Czarnego Dunajca, Podczerwonego, Nowego Targu. Jeden ze strażaków odniósł w akcji ratowniczej poważne poparzenia. Jest to już drugi pożar w przeciągu niedługiego czasu w tej okolicy, gdyż poprzednio spaliło się we wsi Dziale 30 domostw.

Tragiczny wypadek w Makowie. W tych dniach zdarzył się w Makowie w tartaku parowym tragiczny wypadek. W czasie smarowania maszyn będących w biegu porwały koła rękę palacza J. Piasecznego, wyrwały mu rękę wraz z łopatką i rzuciły go tak silnie o ścianę, że nieszczęśliwy natychmiast ducha wyzionął.

Morderstwo w Krośnie. Ubiegłej niedzieli wieczorem mieszkańcy Krosna na ścieżce polnej znaleźli zwłoki Wiktorji Langnerowej, liczącej 34 lata, żony hutnika tamtejszego, Konstantego Langnera. Komisja sądowo lekarska, która zjawiła się na miejscu, stwierdziła, że Langnerowa zginęła od kuli rewolwerowej. Dochodzenia policyjne wykazały, że sprawcą śmierci Langnerowej jest mąż zmarłej, którego też aresztowano i oddano do więzienia sądowego. Dochodzenia dalsze w toku.

Katastrofa automobilowa. Ubiegłej niedzieli popołudniu na drodze z Delatyna do Worochty obok przystanku kolejowego Jaremcze - Wodospad wydarzyła się wstrząsająca katastrofa automobilowa. W czasie tym przejeżdżało tamtędy auto osobowe, które prowadził osobiście Dr Roth, a w którem jechały dwie siostry Pressówny, córki dyrektora tartaku w Mikuliczynie, oraz Tiegerówna, córka tamtejszego zarządcy. Nagle w kierownicy nastąpił defekt, wskutek tego auto z całą gwałtownością wjechało na drewnianą barjerę, a po złamaniu tejże stoczyło się z 6-metrowej wysokości na tor kolejowy. W tym samym momencie do miejsca wypadku zbliżał się pociąg osobowy, nadchodzący od strony Delatyna. Budnik kolejowy Leluk, który był świadkiem stoczenia się auta na tor, w jednej chwili zorjentował się w sytuacji i szybkiem ustawieniem stawidła zdołał na zakręcie zatrzymać zbliżający się pociąg, który byłby z całym pędem wjechał na rozbite auto. Wskutek tego stoczenia młodsza Presserówna poniosła śmierć na miejscu, natomiast starsza jej siostra, Tiegerówna i Dr Roth odnieśli bardzo ciężkie rany.

Napad rabunkowy w pociągu. W pociągu, idącym z Brodnicy do Warszawy, usłyszano w pewnym momencie głośne wołania, że jakaś kobieta wypadła z wagonu. Natychmiast zatrzymano pociąg i rzeczywiście w pobliżu miejsca postoju znaleziono leżącą na torze nieprzytomną kobietę. Ze znalezionych przy niej dokumentów okazało się, że jest to Wilhelmina Brandtowa, która przybyła niedawno z Ameryki do Polski. Jechała ona w przedziale II klasy, gdy nagle wtargnął do tego przedziału jakiś osobnik i porwał stojącą na ławce walizkę. Dzielna kobieta stanęła do walki z napastnikiem, chcąc odebrać mu walizkę w której znajdowała się znaczniejsza suma pieniędzy. W otwartych drzwiach wagonu rozegrała się zacięta walka, która skończyła się tem, że bandyta zepchnął Brandtową na tor a sam wraz z walizką wyskoczył z pędzącego pociągu i znikł bez śladu. Ciężko poranioną kobietę odwieziono do szpitala.

Poszukiwanie skarbu. W Modlinie odbywają się obecnie poszukiwania skarbu, który mieli porzucić Rosjanie w 1915 r. w czasie cofania się wojsk rosyjskich przed Niemcami. Wedle relacji, jaką złożył w tym względzie porucznik rezerwy Szczurek, Rosjanie zakopali w obrębie zabudowań fortecznych w pewnem miejscu nad Wisłą wielką skrzynię, w której znajdowało się 6 pudów złota, w pięciu i dziesięcio-rublówkach, oraz w złotych medalach i krzyżach św. Jerzego. Por. Szczurek, oprócz tych własnych swoich wiadomości, pochodzących z czasów, gdy odbywał służbę wojskową w Modlinie, otrzymał jeszcze informacje od pewnego emigranta rosyjskiego, potwierdzające jego relację. Wysłał więc raport do ministerstwa spraw wojskowych, które zarządziło poszukiwania zakopanego skarbu. Pracę podjęło 40 saperów W razie odnalezienia skarbu por. Szczurek otrzymałby 10 proc. wartości jego.

Wstrząśnienie ziemi w Bytomiu. W nocy z 20 na 21 listopada o 4 nad ranem odczuto w Bytomiu silne wstrząśnienie ziemi. Wstrząśnienie to zachwiało meblami w mieszkaniach i pobudziło mieszkańców, dając się im we znaki w północnej części miasta. Władze Bytomia wdrożyły dochodzenia, aby stwierdzić, czy wstrząśnienia te nie są wynikiem zawalenia się opuszczonej już kopalni w okolicy Bytomia.

Ilu jest Nowaków na świecie? Bodaj czy nie najwięcej na świecie jest ludzi, którzy noszą nazwisko Nowak. Istnieje nawet związek Nowaków. W listopadzie odbyło się w Pradze walne zgromadzenie tego związku. Związek liczy obecnie 11 630 członków i spodziewa się, że w szeregach swoich zjednoczy 100.000 ludzi z całego świata. W samej Pradze mieszka 18.000 Nowaków. Prezesem został profesor politechniki praskiej oczywiście Nowak, a jednym z członków wydziału jest Nowak z Warszawy. Organizacja posiada biuro, które udziela porad prawnych członkom. Zgromadzenie odbyło się w restauracji Nowaka. W czasie rautu przygrywał kwartet złożony także z Nowaków.

Ucieczka księdza z Syberji. Jak donoszą gazety warszawskie, z tajg głębokiej Syberji zbiegł, zmyliwszy czujność strażników bolszewickich, ks. kanonik Jan Tarnowski, były sekretarz arcybiskupa Cieplaka. Był on w swoim czasie skazany przez bolszewików na śmierć, lecz następnie ułaskawiono go i zesłano na Syberję. Przebył on wśród najstraszniejszych okoliczności przeszło 700 klm., dzielących go od granicy chińskiej, a całą tę drogę przebył pieszo. Władze chińskie udzieliły mu schronienia i pomogły do przedostania się do Londynu, gdzie ks. Tarnowski obecnie przebywa. Wraz z nim zbiegł jeszcze jeden zesłaniec, pewien arystokrata polski, którego nazwisko jednak prasa angielska podaje w zniekształconej formie Drohobujskiego, tak, że na razie trudno domyśleć się prawdziwego nazwiska.

Wczesne mrozy na Syberji. Donoszą z Irkucka o silnej fali mrozów, która nawiedziła okolice Syberii. Temperatura w Irkucku osiągnęła 26 stopni Celsjusza mrozu, temperatura w Jakucku 35 stopni, w Wierchojańsku 50 stopni Celsjusza. Jest to nawet w tych okolicach w listopadzie niezwykłym objawem atmosferycznym.

Sekta adamitów. W jednej z berlińskich kawiarni doszło do niebywałego skandalu. Była godzina 12 w nocy. Do kawiarni wszedł elegancki mężczyzna w średnim wieku, odziany w wytworne futro, które po wejściu do lokalu zdjął z siebie i powiesił na kołku. Wówczas ku ogólnemu zdziwieniu spostrzeżono, iż prócz bucików i skarpetek nie ma na sobie żadnego odzienia. Oczywiście natychmiast go aresztowano. Przypuszczano zrazu, że jest to człowiek umysłowo chory, ale okazało się, iż należy on do sekty adamitów i pragnął w ten sposób

czynem apostołować zasady tego stowarzyszenia religijnego. Na podstawie informacji adamity, który jest poza tem bogatym i solidnym kupcem, stwierdzono, że sekta adamitów liczy w Berlinie kilkaset osób, wśród których przeważają mężczyźni, a członkowie sekty obowiązkowo muszą chodzić bez wszelkiej bielizny, okrywając jedynie na ulicy ciało swoje płaszczem lub futrem.

Kiedy jeść obiad? W Paryżu rozważają obecnie plan zmienienia ustalonego czasu pobieranych posiłków. W sprawie tej urządzono niedawno ankietę, która stwierdziła, iż dla ludzi pracujących południowa pauza obiadowa jest szkodliwa, gdyż przekarmieni muszą natychmiast wracać do pracy. A ponadto ludzie pracy, zmuszeni do pośpiechu, połykają obiad w nadmiernie szybkiem tempie, co wpływa ujemnie nietylko na ich zdrowie, ale na dalszy tok prac popołudniowych. Wobec tego wystąpiono z projektem, aby na sposób angielski zamiast dłuższej przerwy obiadowej istniała tylko krótka pauza dla spożycia skromnego posiłku. Natomiast czas pracy miałby zostać skrócony, co umożliwiłoby pracującym wcześniejsze spożycie obiadu wieczornego. Naszem zdaniem projekty zostaną projektami, a ludzie będą jedli, kiedy głód odczują.

Dziewczyna do krów księżniczką. Według doniesień z Berlina, przed sądem w Erfurcie rozpocznie się 27 b. m. rozprawa przeciwko Marcie Barth, dziewczynie stajennej, oskarżonej o szereg oszustw, które popełniała w ciągu ostatnich trzech lat, podając się za księżniczkę Małgorzatę pruską. Oskarżona grała tak dobrze swoją rolę, że przyjmowano ją w najpierwszych kołach towarzyskich, co pozwoliło oszustce na szereg poważnych wyłudzeń pieniężnych. O stosunkach familijnych rodziny książęcej była Marta Barth dobrze poinformowana, gdyż od szeregu lat zatrudniano ją w dobrach księcia Augusta Wilhelma, w charakterze dziewki do krów. Ostatecznie oszustwo wyszło na jaw w ten sposób, że rzekoma księżniczka została zdemaskowana przez dwie panie z Erfurtu, które przedtem pozbawiła całego majątku. Panie owe słysząc, że „księżniczka“ udaje się do swych krewnych w Poczdamie, pojechały za nią z prostej ciekawości, jak to je ich znajoma przyjmie w pałacu królewskim. Jakież było ich rozczarowanie, gdy odszukały ją, ale w stajni pałacowej. Do rozprawy powołano około 30 świadków i szereg rzeczoznawców.

„Hrabiowski“ żebrak. W Turynie, w przytułku dla starców, zmarł w tych dniach znany w całem tem mieście żebrak, który od lat z górą czterdziestu utrzymywał się z ulicznej żebraniny. Żebrak ten nosił nie lada nazwisko, nazywał się mianowicie: hr. Buriasco-Bibiano, markiz de Luserna - Baudinero - Castel - Merlano-Caluzzo - Cercenasco i pochodził faktycznie ze starego rodu, do którego należały ongi wszystkie te dobra rycerskie i szlacheckie, które ślad swój pozostawiły jedynie już tylko w sążnistem nazwisku żebraka. Arystokratyczny żebrak urodził się na zamku Cercenasco, który jednak sprzedany być musiał także na żądanie wierzycieli jego ojca. Młody hrabia Buriano-Biliano i t. d. wyrósł już w wielkiej nędzy i jako chłopiec oddał się zawodowo żebractwu, któremu to rzemiosłu dochował wierności aż do grobu. Pogrzeb jego odbył się przy udziale wszystkich żebraków Turynu, wśród których zmarły cieszył się wysokiem poważaniem dzięki właśnie swemu szumnemu nazwisku.

Wśród rekinów. Dzienniki londyńskie donoszą o niezwykłej przygodzie młodego marynarza, Alfreda Spitza. Jechał on do Kalkutty. Spitz znany był ze swej odwagi. Był akrobatą i doskonałym pływakiem. Pewnej nocy chciał pochwycić ptaka, który spoczął na maszcie. Wspiął się więc na maszt, ale dostał zawrotu i — wpadł do morza. Zanim z głębiny wypłynął na powierzchnię, okręt oddalił się o sto metrów. Ponieważ nikt o wypadku nie wiedział, wołania jego w nocy nie słyszano, statek popłynął dalej. Spitz nie stracił przytomności umysłu, sądząc, że znajduje się w pobliżu wybrzeża. Płynął więc w kierunku lądu. Dwa parowce przejeżdżały w pobliżu, ale go nie zauważono. Gdy nastał dzień, Spitz ku swemu przerażeniu spostrzegł, że płynie w odwrotnym kierunku, na pełne morze. Słońce wzeszło i poczęło palić pływaka nielitośnie. Spitz chciał zrzucić z siebie dolne części ubrania, ale nie mógł tego uczynić, więc płynął dalej w ubraniu. Męczyło go pragnienie i dokuczał głód. Wtem nowe niebezpieczeństwo poczęło mu zagrażać. Ze wszystkich stron zbliżały się ku niemu olbrzymie rekiny. Niektóre z nich zbliżyły się na odległość dziesięciu metrów.



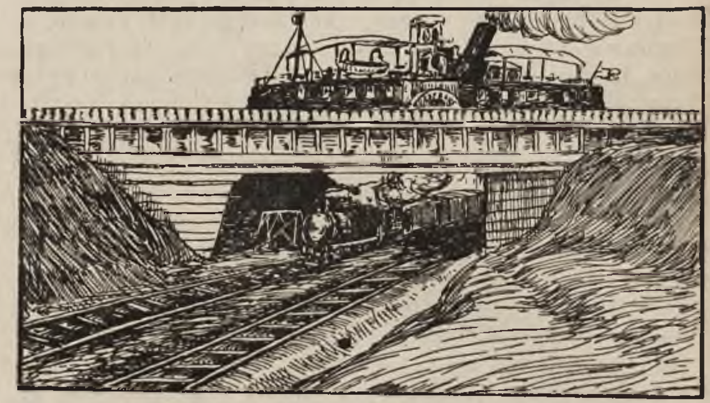
Marynarza otoczyły potwory ze wszystkich stron. Ale rzecz dziwna, rekiny na płynącego nie zwracały uwagi! Spitz wiedział, że nie każdego człowieka rekiny napadają i że kierują się wyłącznie węchem. Gdy ku niemu zbliżał się rekin, płynął w odwrotnym kierunku, aby oddalić się od potwora. Niebezpieczeństwo czyhało nań ze wszystkich stron. Zlatywały się morskie sępy i — czując żer — rzucały się na niego, kłójąc dziobami. Jeden z sępów siadł mu na plecy i przesiedział kilka godzin. Znowu słońce poczęło się chylić ku zachodowi i marynarz sądził, że następnego dnia już nie doczeka. Jednakowoż los chciał inaczej. Przejeżdżał w pewnej chwili parowiec, z którego oficer zauważył pływaka. Wydostanie go z morza było dziełem kilku minut. Parowiec zdążał także do Kalkutty. Marynarz przebył ciężką gorączkę. Po wyzdrowieniu wrócił na swoim statku do Europy.

Zwierzątka ludzkie. Do londyńskiego szpitala przywieziono niedawno trzyletniego chłopczyka o przerażających objawach dzikości. Malec unika towarzystwa innych dzieci, które kąsa i drapie, gdy się doń zbliżają, wyje jak zwierzątko, łazi na czworakach i nie znosi odzieży, wszystko, co się nań wkłada, drze na strzępy. Aby uchronić innych młodocianych pacjentów, umieszczono „dzikusa“ w kącie sali, który odgrodzono kra-

tami. Tam przebywa dziwne zwierzątko ludzkie, którego dotąd nie zdołano ucywilizować. Owo zwierzątko ludzkie nie jest pierwszem, gdyż w Indjach natrafiono przed kilku laty na wilczą jamę, w której znajdowały się dwie dziewczynki, wychowane przez wilczycę. Gdy odstawiono je do najbliższego osiedla ludzkiego, nie mogły się one przyzwyczaić do gotowanego mięsa, ani sukienek. Po krótkim czasie zmarły. W Europie w 17 tym wieku dwaj chłopcy, zamieszkali w Pirenejach, na kształt kozłów górskich skakali stale na czworakach ze skały na skałę. Inne znów „małpie dziewczę“ ujęte zostało w roku 1751 w Szampanji: dziesięcioletnia dziewczynka o brunatnej skórze mieszkała stale w lasach, z chyżością wiewiórki wdrapywała się na drzewa i przeskakiwała z gałęzi na gałąź Z początku nie mogła się przyzwyczaić do gotowanych potraw; w lesie żywiła się ptactwem i surowem mięsem. Po pewnym jednak czasie „zwierzątko ludzkie“ straciło swe zwierzęce narowy.

Miasto polskie w Kalifornji. W San Francisco, w Północnej Ameryce, wychodzi gazetka p. t. „Słońce z Kalifornji“. Omawia ona przedewszystkiem sprawy kolonizacji polskiej w Kalifornji. Gazetka ta donosi, że w dniu 22 października r. b. proboszcz polskiej parafji św. Stanisława w San Francisco, ks. Stanisław Przybysz, podpisał w Lassen kontrakt z trzema miljonerami w sprawie kolonizacji 18 000 akrów najżyźniejszej ziemi w Kalifornji, które będą oddane w posiadanie Polakom. „Nie mógł ks. Przybysz — czytamy w tej gazetce — znaleźć piękniejszego i korzystniejszego miejsca na kolonję polską, jak w powiecie Lassen, gdzie są piękne lasy i jeziora, oraz słynny narodowy park. Ziemia przeznaczona na kolonję polską jest równa, czarna i łatwo uprawna. Hodowla bydła bardzo popłaca w tym okręgu. Założone tu będzie czysto polskie miasto, buduje się tartak, a drzewo do budowy domów jest bardzo tanie. Przy znakomitych źródłach wody ks. Przybysz zakłada z Dr Stefanem Kolakiem trzy sanatorja. Do polskiej kolonji trzeba będzie wielu ludzi do pracy przy budowie wielu domów i budynków miejskich. Około Nowego Roku ks. Przybysz wyjedzie ze wspomnianymi finansistami do większych osad polskich w Ameryce, gdzie będzie wygłaszał informacyjne wykłady o Kalifornji, przybędzie również później do Polski w celu zorganizowania jeszcze większej kolonji w centralnej Ameryce, w której to sprawie za pośrednictwem konsulów nawiązał już stosunki, spodziewając się sprowadzić tam około pół miljona Polaków z Polski. Ma to być wymarzony teren kolonizacyjny dla Polaków, daleko dla nich korzystniejszy od wszystkich innych obszarów ze względu na niezwykle pomyślne warunki klimatyczne, oraz brak konkurencji na mało dotąd wyzyskanych, olbrzymich terytorjach. Aby wyżywić 5 miljonów mieszkańców i licznych turystów, musi Kalifornja importować mięso, tłuszcze i nabiał z sąsiednich Stanów, stąd dla hodowców otwiera się tam wielka przyszłość.

Podmorski tunel między Europą a Afryką. Mowa tu o projekcie połączenia Europy z Afryką przez przekopanie tunelu z Gibraltaru do Ceuty, a więc pod cieśniną Gibraltarską. Hiszpanja, której zamożność bardzo się wskutek neutralności podczas wojny wzmogła i która ma obecnie poważne interesy w Marokku, pragnie gorąco tego tunelu. Znajduje on zresztą licznych zwolenników i we Francji. Niechętnem okiem patrzy na plan taki Anglja, której stanowisko polityczne i wojskowe wymaga utrzymania stanu obecnego w cieśninie Gibraltarskiej. Dziś Anglja, usadowiona w twierdzy Gibraltarskiej, na południu Hiszpanji, ma w dużym stopniu możność kontrolowania żeglugi śródziemnomorskiej. po przeprowadzeniu zaś tunelu znaczenie tej twierdzy spadłoby do zera. Mimo niezadowolenia Anglji projekt tego tunelu żywo omawiany jest w Madrycie, Barcelonie i Paryżu; wygotowano już opracowane w najdrobniejszych szczegółach plany robót. Hiszpańsko-francuskie konsorcjum gotowe jest dostarczyć środków na budowę tunelu, który ma kosztować około 80 miljonów dolarów, a wykonanie wszystkich robót pochłonęłoby około 5 lat.



Długość tunelu wynosiłaby około 50 kilometrów największa zaś głębokość 400 metrów. Jego przeznaczeniem byłoby między innemi danie połączenia kolejowego obu lądom, dzięki temu możnaby kierować pociągi wprost z Calais do Tangeru. W najbliższych miesiącach ma nastąpić rozstrzygnięcie co do budowy tego tunelu z Gibraltaru do Ceuty. Jego wykonanie byłoby jednym z największych tryumfów ludzkiej wiedzy i techniki.

Wylew rzeki Missisipi. Wskutek bezustannych deszczów rzeka Missisipi w Ameryce wylała, wyrządzając olbrzymie szkody na sumę około 10 miljonów dolarów. Powódź zalała cały szereg wiosek nad Missisipi, szczególnie w stanie Missouri. Pod wodą znalazły się olbrzymie obszary. Przeszło tysiąc rodzin pozostaje bez dachu nad głową. W stanie Kansas i Illinois wezbrane wody Missisipi dosięgły krańców wałów nadbrzeżnych. Pod Quincy wody przerwały wał i zalały szeroko tereny nadbrzeżne. Wezbrane wody rzeki Cumberland zerwały most kolejowy pod Pieville w stanie Kentucky.

Głód w Chinach. Na północy Chin wzmaga się głód, który doprowadza ludność niektórych okręgów do czynów rozpaczy. W okręgu Suj Jang celem zdobycia środków do życia ludność na specjalnych rynkach sprzedaje młode dziewczyny, kupowane przez handlarzy żywym towarem. Jak obliczają, dwunastu miljonom grozi śmierć głodowa. Istnieją obawy, że liczba ta wzrośnie do 20 miljonów z chwilą, gdy klęska głodowa osiągnie swój punkt kulminacyjny. Aby zapobiec tej klęsce, trzebaby conajmniej 40 miljonów dolarów,

Jęki dwustu wdów. W Afryce południowej zmarł wódz plemienia basutów Jonathan, jeden z najbardziej oddanych Anglikom kacyków. Pogrzeb zmarłego wodza odbył się z zachowaniem starodawnych murzyńskich ceremonjałów, przy udziale urzędowych reprezentantów władz europejskich. Nad głęboką na 12 stóp mogiłą usiadły w szkarłatnych strojach żałobnych żony wodza, w liczbie 200! Włosy miały rozpuszczone i zawodziły z rozpaczy. Wokół „niepocieszonych“ 200 wdów zgromadzili się poddani Jonathana, opłakując śmierć swego wodza. W chwili, gdy zwłoki Jonathana zostały złożone do grobu, wielki byk poćwiartowany został na drobne kawałki, które następnie palono na kilku stosach. Stosy te płonęły przez noc całą, oznajmiając wiernym basutom zgon starego wodza. Po pogrzebie odbyła się uroczysta stypa dla przybyłych z okolicznych wsi delegacyj i dworu kacyka.

RZECZY CIEKAWE.

Wytrzymałość zwierząt na głód.

Zapewne każdy doznawał już mniej lub więcej silnego uczucia głodu, lecz z pewnością mało kto przeprowadzał doświadczenia głodowe na własnej osobie. Odnośne badania uskutecznili fizjologowie na zwierzętach, gromadząc cenne dane z tej dziedziny.

Jak długo znosić można głód, zależy w pewnej mierze od równoczesnego zasilenia organizmu wodą. Gołębie mogą bez wody głodować cztery do pięciu dni, z wodą dni jedenaście do dwunastu. Niektóre zwierzęta, którym przez pewien czas podawano niezmiennie ten sam karm, sprzykrzyły go sobie do tego stopnia, że wolały umierać z głodu: np. psy, które żywiono przez czas dłuższy mięsem zagrzanem do 110 stopni gorąca lub gołębie, karmione „polerowanym" ryżem. Psy mogą obywać się bez żeru sześćdziesiąt dni, kondor czterdzieści; gołąb jedenaście, mysz pięć do sześć. Stworzenia mięsożerne znoszą głód dłużej aniżeli jarosze, starsze dłużej niż młode. Ciepłokrwiste umierają, straciwszy czterdzieści procent wagi ciała, natomiast u zimnokrwistych przemiana materji odbywa się znacznie powolniej, wobec czego np. żaby mogą pościć przeszło rok, a pluskwy pokojowe aż do lat sześciu!

Pijawka może napoić się krwią w ilości równej pięciokrotnej wadze jej ciała i przetrawiwszy zapas ten w ciągu sześciu miesięcy, może następnie głodować przez rok. Przyrodnik Pulter stwierdził, że czasokresy odpowiadają długości ciała danych stworzeń. Wychodząc z tego założenia, daje się obliczyć, że człowiek może powstrzymać się od jedzenia najdłużej przez siedmdziesiąt pięć dni. Ryby mogą utracić połowę do 3-ch czwartych, a nawet do dziewięćdziesiąt procent wagi ciała. Polipy wód słodkich pozbawione karmu podlegają wstecznemu kształtowaniu, aż do najprostszych form, przyczem proces życiowy odbywa się odwrotnie.

Zaznaczyć wkońcu należy, że głód, nawet kilkodniowy, nie przynosi szkody organizmowi, ale owszem wzmaga sprawność i energję życiową.

Co się sprawdziło?

Rok 1928 dobiega końca. Warto zastanowić się nad tem, o ile sprawdziły się liczne proroctwa, które z początkiem tego roku posypały się, jak z rogu obfitości.

Zupełnie sprawdziło się proroctwo astrologa francuskiego Andoux, który zapowiedział trzęsienie ziemi w Południowej Ameryce. I rzeczywiście w ciągu br. doznała ta część świata aż ośmiu wielkich wstrząśnień ziemi. Berlińska jasnowidząca p. Jordan również wystąpiła z początkiem roku w roli złowieszczego puszczyka, zapowiadając szereg katastrof elementarnych, a więc: wybuchu kilku wulkanów, zniknięcie kilku wysp na morzu itd. Przy odrobinie dobrej woli możnaby i te proroctwa uznać za prawdziwe. Co prawda, należy dodać, iż p. Jordan owych katastrof wcale nie umiejscowiła.

Szczególnego pecha miał natomiast amerykański astrolog Whitcomb, który oznajmił, iż w roku bieżącym wyspa Helgoland zanurzy się w odmętach morskich. Ten sam Amerykanin wogóle sobie coś upatrzył do tej wyspy, bo jeszcze w r. ub. zapowiedział jej zgubę. Tenże Whitcomb wyprorokował upadek rządu bolszewickiego, co jednak jakoś nie nastąpiło. Natomiast udała się przepowiednia Francuzce, p. Borderieux, która z góry przewidziała ostateczne skonsolidowanie kursu franka i francuskich stosunków finansowych. Natomiast nie miała słuszności zapowiadając ciężką chorobę Hindenburga.

Gdzie są najszczęśliwsi ludzie?

Na pytanie powyższe odpowiada pewien podróżnik angielski. Dochodzi on do wniosku, że najszczęśliwsi ludzie żyją w najdalszych i najbardziej odosobnionych zakątkach ziemi. Kto — powiada — dużo podróżował po Afryce, ten musiał zauważyć, że najsilniejsi fizycznie i najpiękniejsi ludzie znajdują się śród szczepów prawie nietkniętych jeszcze przez t. zw. cywilizację. Naturalnie warunki bytu i prawa natury wytrzebiły tam słabych i chorobliwych, a z tego doboru powstali ludzie silni i zdrowi, wobec których zwykły nieszczęśnik wygląda bardzo kiepsko. Długie doświadczenie, nabyte przez pobyt śród tych ludów pierwotnych, doprowadziło mnie do wniosku, że śród ludzi tych widoki osiągnięcia szczęścia są bez porównania lepsze, niż u nas. Możnaby zatem powiedzieć, że stoją na wyższym od nas stopniu rozwoju, jeżeli suma szczęścia ma być miarą naszego postępu.

Niedawno na konkursie o najlepszą definicję szczęścia otrzymała pierwszą nagrodę odpowiedź, że najszczęśliwszy jest ten, kto posiada najmniej potrzeb. W takim razie dzicy są najszczęśliwszymi ludźmi na świecie.

Wyrób samochodów.

Z dniem 1-ym października b. r. dzienna produkcja zakładów Forda osiągnęła cyfrę 6 tysięcy samochodów nowego typu, przyczem produkcja ma być stale zwiększana i z dniem 1-go grudnia b. r. dojść do 10.000 samochodów dziennie. Od dnia 1 czerwca r. b. stale powiększano w zakładach Forda liczbę pracowników przeciętnie po tysiąc osób tygodniowo i obecnie zakłady w Detroit, Highland Park, Fordson i Lincoln, zatrudniają około 125 tysięcy pracowników, przyczem nadal liczba pracowników równolegle z wzrostem produkcji będzie zwiększana.

Humor obrazkowy.



— Walek! A cegóześ sobie wlozył taki elegancki krawat, a buciska mos potargane i palice z nich ci wyłazą?

— Bo kcę zeby się ludziska na ten krawat patrzeli nie na moje buty!

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Józef Nipl** w P.: Cieszy nas twierdzenie Pańskie, iż „Rola“ wyprzedza wszystkie tygodniki i że jest najchętniej kupowana w Pańskiem Biurze w Przeworsku, ale i to wiemy, że sama dobroć pisma jeszcze nie wystarczy, gdyż popyt na gazetkę zależy także od propagandy rozsprzedającego. Że Pan „Rolę“ popiera, to widzimy to z ilości rozsprzedawanych egzemplarzy i jesteśmy Panu za to serdecznie wdzięczni. Obyśmy mieli jak najwięcej takich przyjaciół, jak Pan. — **Maryla „Widz“** w O.: Wierszyk p. t. „Polsko Tobie!“ naprawdę dobry i piękny. Artykuł jubileuszowy z drobnemi zmianami zamieścimy. Dawniej przesłany utwór p. t. „Nad poziom“ dobry, ale nieco żadługi dla „Roli“, trudno więc znaleść dla niego odpowiednią chwilę. **Fr. Sieradzki** w D. Sprawy ubezpieczeniowe w towarzystwach zagranicznych dotychczas nieuregulowane. Toczą się pertraktacje, gdyż rząd polski chce uzyskać jak najwięcej, a towarzystwa obiecują dać niewiele. Jaki będzie ostateczny wynik, trudno przesądzać. Mamy nadzieję, że po zawarciu jakiejś umowy, rząd polski ją ogłosi, trzeba więc dowody wpłaconych należytości chować. — **Leon Stanner** w N. T.: Dłuższych korespondencyj nie drukujemy, drobne wiadomości zamieszczamy chętnie w kronice. — **Wł. Szwabowicz** w K.: Wspomniany artykuł przyszedł zapóźno, gdyż odpowiedni numer z powodu święta musieliśmy robić w przyspieszonem tempie. Artykuł na Boże Narodzenie prosimy przysłać wcześniej, gdyż i z numerem świątecznym musimy się spieszyć. Z zagadek skorzystamy. — **Franciszek Mocioł** z S. B.: Z przesłanych numerów prosimy zwrócić nam numera: 1, 2, 3, 4, 5, 6 i 7, gdyż te numera mamy na wyczerpaniu. — **Władysław Janczarek** w W.: Szkoła ślusarska jest w Świątnikach, poczta loco (woj. krakowskie). Gdy Pan się tam zwróci, to wyjaśnień udzielą (załączyć znaczek na odpowiedź). — **January Wilk** z D.: W takim razie, to dług już wyrównany — szkoda, żeśmy zaraz nie wiedzieli dla kogo prenumerata. Życzymy szczęścia dobrego przy tej kwesturze. Łączymy wzajemne serdeczne pozdrowienia. — **Emil Boguta** w W.: Prenumeratę za IV kwartał ma Pan zapłaconą Pod wskazanym adresem numer z czekiem przesłaliśmy. Dziękujemy. — **Maryśka z Kamionki:** Myśleliśmy, Marysiu, żeś już o nas zapomniała, tembardziej więc listem od Ciebie ucieszyliśmy się. Za pozdrowienia wszyscy dziękujemy. — **„Wisła“** w S.: .Wszystko pójdzie w najbliższej przyszłości. Dzięki. — **Piotr Wenc** w S.: Dobre, dziękujemy. — **Tadeusz Wach** w L.: Może być, że tak się stało, aby trudniej było odgadnąć. — **Józef Sołtys** w M.: Gdy artykuł nadszedł, mieliśmy już wszystko do niniejszego numeru złożone w druku, schowaliśmy go więc do przyszłego roku. — **Jan Pelczar** w W. S.: Otrzymaliśmy; dobre. — **Józef Pachołek** w Ch. W.: Nadesłany wierszyk jeszcze do druku się nie nadaje z powodu drobnych usterek, prosimy jednak nie zrażać się, ale pisać dalej, zaś po napisaniu dokładnie przeczytać, a sam Pan spostrzeże braki, po poprawieniu których niejedna rzecz może się nadać do druku. — **Ludwik St. Unsing** w B.: „Dzwonnika“ otrzymałem. Kiedy go puszczę, dziś jeszcze trudno oznaczyć. — **„Be-ge“:** „Janka“ to sobie takie opowiadanie bez głębszej myśli. Zdarzeń podobnych w życiu ludzkiem tysiące. Nie do druku. — **Jan Skibniewski** w L.: Nad doborem powieści na przyszły rok pracujemy już obecnie z całym wysiłkiem. Mamy już gotową w tece powieść kryminalną z życia ludu wiejskiego p. t. „Ludzki sąd a Boża prawda“. Opracowujemy powieść awanturniczą, której akcja dzieje się w Ameryce, a bohaterką jest polska hrabianka, p. t. „Wydziedziczona“. Dalej przystosowujemy do „Roli“ powieść polską p. t. „Król dziadów“. Specjalnie dla „Roli“ pisze powieść p. Ludwik St. Unsing. Zresztą do Nowego Roku jest jeszcze kilka tygodni, więc w tym czasie dużo stać się może, coby wpłynęło na nasze postanowienie. W każdym razie to, co już posiadamy, wystarczy, aby „Rolę“ pod względem powieściowym uczynić bardzo zajmującą.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Franciszek Pukas z Szcz.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Posty wspak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Kraik w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Rozbój.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Kwiaty wspak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Napoju.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Środek na poty.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię żeńskie.

Litery początkowe i końcowe — czytane z góry na dół dadzą nazwiska dwóch cesarzy rzymskich.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Robimy dziś wycieczkę, proszę pierwsza [czwarta,
Przy drodze druga trzecia o drzewo oparta
Staruszka. Przychodzę do niej i jałmużnę [czwarta.
Patrzę w górę. Na gałęzi całość rozpostarta,
W samym środku jej twórca na zdobycz [tu czycha
Nastraszony w kryjówkę co prędzej umyka.

II.

Słuchaj piąty, pierwsza trzecia siostra chora,
Wielkie pierwsze piąte, trza wołać doktora.
Tymczasem w aptece kup drugie i trzecie,
Kup też czwartą piątą, bo się przyda przecie.
A w Psiej Wólce drugie, czwarte, piąte [gdzieś tam przy kościele
Nie wiem czy na festyn, czy Maćka wesele.
Całość poszukaj pomiędzy krewnymi
Lecz nie najbliższymi, ale już dalszymi.

III.

Przez pierwszą pół drugiej duchownego [mamy,
Pierwszą i pół drugiej z czoła obcieramy,
Wstecz druga, wstecz pierwsza czytane
Z jednego znaczenia coś z przodu znane.
Całość katastrofa, raz była na świecie,
Wie o niej z biblji nawet szkolne dziecie.

IV.

Pierwsza trzecia czwarta jadalne kasztany,
Trzecia znów i pierwsza wiecie moje pany
Jest miasto, na świat cały znane,
Druga znów i trzecia w kartach jest wi- [dziane.
Całość z mąki potrawa, każdemu z nas [znana,
Najwięcej w Italji pono wyrabiana.

V.

Bez drugiej pierwszej kiepskie obiady by- [wają,
Drugą i trzecią smacznie po wsiach w zimie [zajadają.
Bez pierwszej trzeciej martwa jest loko- [motywa,
Z trzeciej i drugiej smaczna z jabłkami legu- [mina bywa,
Całość zwierzęta a nawet i ptaki miewają,
Często nawet dla ludzi groźnemi bywają.

3. Ustawianki.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Dwie litery greckie = zbiór liter.
Pół litery = sprzęt domowy
Rrzeka + jeden = wizerunek.
Kopalnia + samogłoska = szkło.
Ryba + litera = stolica.
Dwie spółgłoski = naczynie.
Rzemień + rodzajnik = środek do czyszczenia.
Imię żeńskie + zaimek osobisty + konserwy

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 9 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 47 „Roli“: 1. Logogryf: Ślepa niewolnica. 2. Szarady kalambury: I. Nowela-matematyka. II. Armata. 4. Przestawianka: Balladyna. Niagara. Watykan. Wenecja. Konstantynopol. Sonata Kreutzerowska.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali: Henryk Biłka-Głębicki z S., Piotr Wenc z S., Jan Gara z W., Alfons Czader z S. W., I. Zajączkowski z S., Ks. Suchodolski z T.

Nagrodę wylosowali: pp.: Piotr Wenc z S. i Jan Gara z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Chłop i djabeł.

Dziwiąc się djabeł zmyślnej chłopa głowie
zaczął i dumać i marzyć.
Ot! wiesz co, chamie, tak do niego powie:
pójdziemy! razem piwo warzyć.

Pójdźmy! rzekł Szymczak — i już kocieł grzeje,
na tęgie piwo i sadzi,
warzy i warzy, miesza — spuszcza — leje,
i ot cały war już w kadzi.

Dzielmy-że teraz, djabeł się odzywa,
Szymczak działu nie odmawia:
dzielmy się, rzecze, i wierzch bierze piwa,
a djabłu drożdże zostawia.

Źle coś! — czart woła, zmieńmy więc umowę;
posiej mi ziarno na grzędzie,
ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
a co zwierzchu, mojem będzie.

Sieje więc chłopek na wspólne korzyści,
wschodzi, rośnie plon wybujały.
Przyszło do działów — djabeł dostał liście,
a rzepy chłopu zostały.

Czarcią, rzekł djabeł, masz chłopie naturę;
widzę, że jesteś mądrzejszy.
Lecz jeszcze jedno: — rzucajmy się w górę,
a ujrzym, kto z nas mocniejszy.

I porwał, schwycił i z takim zamachem,
śmignął go łapy silnemi,
że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
nim go czart schwycił przy ziemi.

Tęgiś, chłop rzeknie, zbladły i zdyszany,
myślałem, że już nie wrócę;
lecz teraz kumie, pójdźno w moje szpony,
niech i ja ciebie podrzucę.

I w pas go bierze i za róg pochwyca,
i tak w dwojga rąk go trzyma,
lecz zamiast rzucić — nagle w twarz księżyca
wrytemi patrzy oczyma.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
choć djabeł — pojąć nie zdoła;
aż wreszcie gdy się znudzi, zniecierpliwi,
„Czego tam ślepisz?“ — zawoła.

Ślepię, rzekł Szymczak, bo wprzód rzeczy ważę,
nie chcę rzucać daremnie;
czekam, aż się tam mój tatuś pokaże,
co cię odbierze odemnie.

Co?! — ryknie djabeł, czyś głupi? szalony?
wydarł się z ręku Szymczaka,
i jakby wodą święconą sparzony,
aż w piekło urżnął drapaka.

Nieomylna oznaka.

— Od kiedy pan zauważył, że żona pańska jest chora?

— Od wczoraj, ponieważ od tego dnia przestała się ze mną kłócić.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 23 listopada b. r.

Pszenica .	47·00—47·50	Słoma długa	11·00—12·00
Żyto .	36·00—37·00	Ziemniaki stoł.	7·00— 8·00
Owies . .	36·00—37·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	33·00—35·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	51·00—52·00
Groch zwyk.	60·00—65·00	Mąka pszen.	75·00—77·00
Siano słodk.	26·00—28·00	Otręby pszen.	28·00—28·50
Koniczpastew.	33·00—35·00	Mąka czerw.	33·00—34·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 23 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·98 do 1·59 zł.	Jałownik	od 1·08 do 1·45 zł.
Woły . .	od 1·05 do 1·50 zł.	Cielęta	od 1·33 do 2·04 zł.
Krowy .	od 0·75 do 1·37 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·05 do 2·42 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·30 do 3.10